



Ginące zawody Pogórza



Ginaće zawody Pogórza



TUCHÓW



RYGLICE

RZEPIENNIK
STRYZEWSKI

SZERZYNY



GROMNIK



Publikacja wydana przez
Pogórzańskie Stowarzyszenie Rozwoju,
 ul. Chopina 10, 33-170 Tuchów, tel. 14 652 44 04,
pogostoro@interia.pl, www.psr.tuchow.pl, www.pogorze.info

Redakcja: Mieczysław Solarz

Adiustacja tekstu: Jan Dusza

Opracowanie graficzne i skład:

M-STUDIO

Bożena Wojtanowska, Mirosław Dryła, Marcin Lisak

Wydawca: Marketing Studio s.c. Dryła & Zawirski, 33-100 Tarnów, ul. Narutowicza 22
www.marketingstudio.pl, tel. 601 868 412

Zdjęcia: Wiktor Chrzanowski www.wiktor.ch

Rysunki: Bożena Wojtanowska

Rok 2013

Nakład 600 szt.

ISBN 978-83-62426-01-0

Europejski Fundusz Rolny na rzecz
Rozwoju Obszarów WiejskichProgram
Rozwoju
Obszarów
Wiejskich
na lata 2007-2013

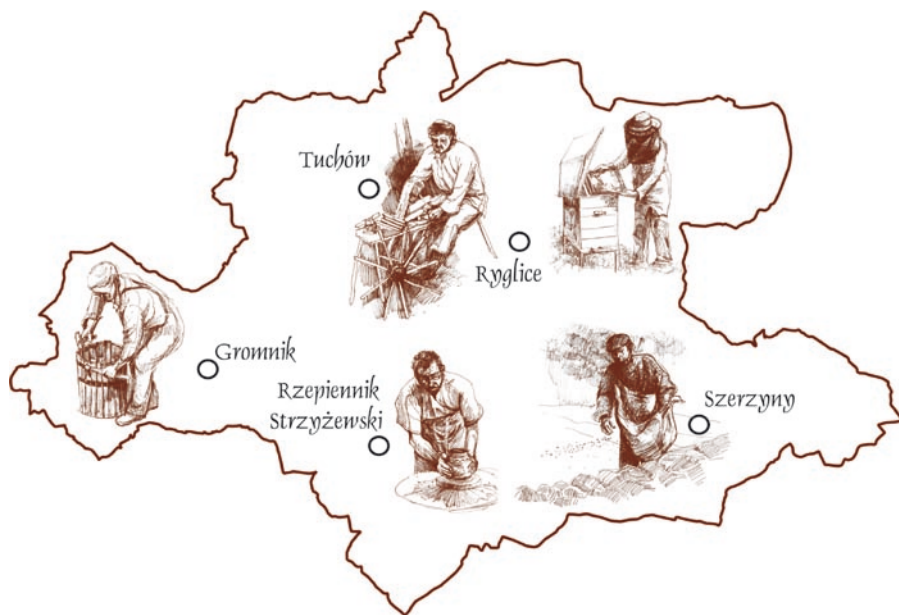
Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich:

Europa inwestująca w obszary wiejskie.

Publikacja wydana przez Pogórzańskie Stowarzyszenie Rozwoju,
 współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach osi 4 – LEADER
 Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013

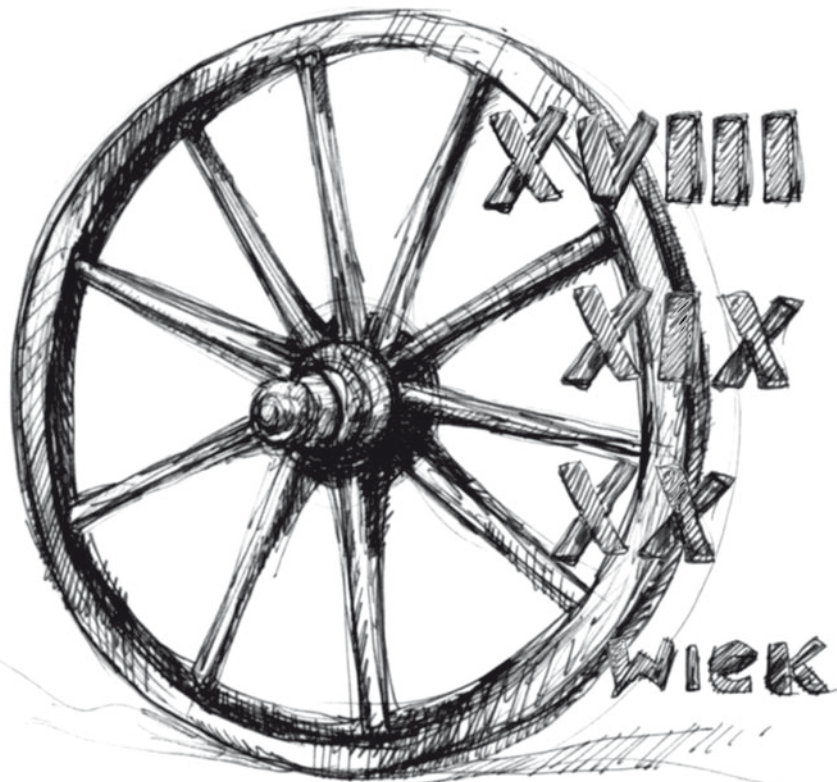
Institucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013

- Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi



Pogórzeńskie Stowarzyszenie Rozwoju

Koło dziejów Pogorza



Od autora

Geneza i źródła informacji

Miałem napisać publikację o starych zawodach. Dostałem listę z wymienionymi kilkunastoma zawodami i pewne wstępne wytyczne. Zacząłem myśleć, jaki charakter nadać takiej publikacji? Suchy, encyklopedyczny, przedstawiający po kolei informacje, rzeczy i czynności wykonywane przez przedstawiciela danego zawodu czy wkomponowany w zwykły wiejski żywot.

Jaki cel ma osiągnąć jej wydanie? Poradnik fachowca czy bardziej opowiadanie? Na ile, wtrącać stare słowa i jak je pisać? Próbować zapisywać fonetycznie, zdając sobie sprawę z niepoprawności pisowni czy bezwzględnie dbać o poprawną pisownię. Musimy bowiem mieć świadomość, że oprócz regionalizmów, występowało też wiele naleciałości z języka niemieckiego, jako spadku po osadnictwie niemieckim (tzw. Głuchoniemcy pochodzenie mieli niemieckie, ale spolonizowali się i niemieckiej mowy już nie używali, ani nie rozumieli) jak i czasach Jego CK Mości. Różnice występowały nawet między sąsiednimi wsiami – np. czynność rozdrabniania motyką zbrylonej ziemi w Olpinach nazywała się „tłuc gruzły” a już w Ryglicach „bić pacyny”. Powszechnie strug nazywany był heblem (lok. hyblem), na silnego, mocarnego chłopą mówiono „fest” chłop, a na zaradną gospodynię „kinder” baba. Służąca do hamowania przednich kół wozu dźwignia zwana była szlachą (ślajfą). Po przemyśleniu tego wszystkiego zdecydowałem się na swoistą mieszankę, która literaturoznawcom może znacznie przeszkadzać, ale dla lokalnego, w różnym wieku odbiorcy będzie bardziej swoista, rodzima, przez co podkreślająca naszą tożsamość regionalną. Zdaję sobie sprawę, że dla starszego pokolenia tłumaczenie poprzez przypisy niektórych nazw regionalnych może być wręcz irytujące, bo to przecież codzienność z ich młodzięczego życia. Jednak dla młodszych pokoleń słowa te nic już nie mówią, „fest chłopą” skłonni są pomylić z „fest bukiem” (żargonowo Facebook). Zdecydowałem się - pisząc publikację o ginących zawodach - napisać





o naszej pogórzańskiej wsi, która odeszła. Niektóre tematy opisując bardziej technicznie, inne bardziej jako otoczenie tematu głównego.

Moja wiedza na ten temat była dość znaczna, ale brakowało mi często odpowiedzi, dlaczego tak a nie inaczej coś robiono, skąd utarł się taki sposób wykonania. Szczególnie na te pytania próbowałem sobie odpowiedzieć poprzez rozmowy i wywiady ze starszymi mieszkańcami. Niestety rzadko coś ciekawego wydobyłem. Najczęściej jedynie powszechnie wszystkim znane ogólniki.

Od dawna gromadziłem stare narzędzia, oglądałem stare zabudowania i maszyny. Od dziecka też rejestrowałem wiele podsłuchanych i widzianych osobiście informacji. Miałem nawet okazję, w schyłkowym czasie socjalizmu, gdy w sklepach brakowało wszystkiego, widzieć cały proces przędzenia wełny. U nas i w bezpośrednim sąsiedztwie zapanowała wtedy atmosfera konieczności powrotu do przędzenia i domowego wyrobu swetrów, skarpet, rękawic itp.. Ze strychów zeszły do kuchni wrzeczona, przysiadki i prządky. Ponieważ nie umiała tego robić moja matka, przychodziły do nas z sąsiednich Olszyn, trochę od niej starsze siostry ojca i gręplowały, przędły, motały. Powróciły dawne wspomnienia i opowiadania. To wszystko działo się w środku Europy, w czasie, gdy technika pozwalała już latać na księżyc. Dom rodzinny nie był zbyt zamożny, czasy dzieciństwa dość trud-



*Ostrze
(żelazko) do
struga typu
wiedeńskiego
i polskiego*

ne, stąd z konieczności rodzice wykonywali szereg prac, które już w tamtym czasie były mocno anachroniczne. Ojciec był swoistym, wielozawodowym samoukiem, z powodzeniem zajmował się kołodziejstwem, stolarstwem, kowalstwem, szewstwem, rymarstwem, drutował i nitował garnki, nawet przewoził prądowe do spawarki wykonał sobie sam, wykorzystując starą metodę kręcenia powrozów. Wszystko wykonywał raczej na potrzeby własne. Główne umiejętności nabył od dziadka, a jako już wiekowy człowiek, miał także sposobność podglądać starych mistrzów. Zawierucha I wojny światowej rzuciła mojego dziadka do Wiednia, gdzie zajmował się robieniem bryczek. Stamtąd też przybyły do naszego domu, zachowane do dziś, wiedeńskie żelazka (ostrza do strugów).

Przeprowadziłem wiele wywiadów, ale ze smutkiem musiałem stwierdzić, że niewiele one wniosły. Najczęściej kręciliśmy się wokół powszechnie znanej tematyki, a moi rozmówcy najchętniej przechodzili do utyskiwania na poprzedni i obecny system, zawsze „biednego” chłopą ciemiężący. Jedynie kilka osób posiadało zdolność analizy i pamiętało specyficzne szczegóły danych zawodów, różniące się nawet w wykonawstwie przez poszczególnych rzemieślników. Największym źródłem informacji w tym względzie okazał się mój ojciec i zbytnio, bez tych porównań, bym sobie z tego sprawy nie zdawał. Ot, bajdurzenie o starych czasach, po części myślałbym, jak to matka powtarzała!

Na wsi obowiązywał dość sztywny podział prac na kobiece i męskie, swoje zadania miały też dzieci. O pracach kobiecych wiedziałem znacznie mniej, głównie z rozmów i tego przypadkowego powrotu do przeszłości, jakim było owo przedzenie. Chciałem skoncentrować się na pewnych szczegółach charakterystycznych dla naszych terenów, niedostępnych lub unikanych w innych publikacjach. Nie widziałem też niejednokrotnie sposobności do jednoznacznego wyodrębniania danego zawodu. Wiele było ściśle z sobą powiązanych, wykonywanych jako czynności dodatkowe w gospodarstwie, a nie jako wyodrębniony specjalistyczny zawód, jak to dziś rozumiemy. Jak np. opisać zawód rolnika – przecież istnieje on i obecnie, ale jak diametralnie jest odmienny. Czy w ogóle zasługuje na miano ginącego zawodu, czy





Dwuprzegrodowy, klepkowy sasek na zborze

jedynie zaginęła, zdezaktualizowała się tamta forma jego wykonywania. Lista takich zawodów byłaby dość długa, jak choćby: kowal, szewc, rzeźnik, pszczelarz czy piekarz. Różnie też te zawody były wykonywane. Do kowala trzeba było pojechać z koniem, pod zadaszenie jego kuźni. Zdun, cieśla czy rzeźnik przychodzili do naszego domu wykonywać prace na miejscu. Koszykarz, opolcarz czy sitarz przychodził do chałup i na jarmarki z gotowymi wyrobami na plecach. Były i zawody „wędrowne” – jak druciarz czy kamieniarz klepiący kamienie do żaren. Na wsi nie było urzędów patentowych, nie można było zastrzec marki, stąd zastępowała to ściśle ukrywana tajemnica zawodowa czy specyficzny sposób zdobnictwa. Była pewna normalizacja, szczególnie dla pomiaru objętości np. garniec, ćwierć czy korzec, które były wielkościami wyjściowymi przy wykonywaniu saseków na zboże czy innych pojemników.

Sytuacja ekonomiczno-społeczna

Musimy sobie uzmysłwić, nawet spróbować myśleć kategoriami wielu lat wstecz, że była to inna wieś, miała inne problemy egzystencjalne, inną kulturę, muzykę, wierzenia czy obyczajowość. Życiu na wsi nierazdło towarzyszył głód, chłód i ubóstwo, a dach nad głową, pełny garnek, krowa i koń w stajni były już oznakami dostatku całej wielopokoleniowej rodziny. Prawie wszystko zamykało się w obrębie małego regionu. Prawie wszystko wytwarzano na potrzeby własne, stąd nie było siły nabywczej, a wszystko należało wytworzyć na miejscu w oparciu o dostępne materiały. Nic nie mogło się zmarnować, np. nie nadające się już na pierze końcówki skrzydeł gęsi czy kaczek, służyły jako zmiotki, zwane „skrzydełkami”. Życie było dość brutalne, co należałoby tłumaczyć sytuacją ciągłego zagrożenia niedostatkiem podstawowych środków do życia (głównie żywności). Pies, kot i inne zwierzęta domowe (oprócz tych produkujących mięso, mleko lub jajka) miały stosunkowo niski status w drabinie żywnościowej. Dla nich były głównie resztki i odpadki, a i za to miały odwodzić się łownością i stróżowaniem. Wysoki status miał koń, często przez zimę zjadał najlepsze siano, którego permanentnie brakowało dla krów. Nierzadko jednak i koń „świecił kościstym szkieletem”, krowa wystającymi „suchotnikami”, a jadły solidarnie zroszoną wodą, ledwie „trzepniętą” mąką i plewami jałową sieczkę. Słowem, pracować na wyżywienie rodziny musiał każdy. Dzieci, jak tylko od ziemi odrosły, pasły krowy, gęsi i wykonywały szereg innych, lżejszych prac. Nieciekawie wyglądała sytuacja osób niepełnosprawnych, często mieli przypisany byle jaki kąt i prawie dożywotnio przykute ręce do sporego zestawu codziennych prac. Jeszcze raz podkreślam, że było to wynikiem konieczności zapewnienia rodzinie dostatku, stąd taka hierarchia. Najwyższe miejsce zajmowali ci, od których zależało życie innych (gospodarz i gospodyni), wśród zwierząt koń, a potem krowa. Z dużą bezwzględnością tępił się wszelkie szkodniki, za które pojmano każde zwierzę uszczuplające zasoby żywnościowe. Myszy i szczury miały być eliminowane przez psy i koty oraz różne zmyślnie pułapki zabijające (łapki, stępki i żelazka). Szkodniki futerkowe (np. tchórz, kuna) łapano były w czasie wczesnej zimy do różnych skrzynek, aby nie uszkodzić cennego





futra. Trwał swoisty wyścig między gospodarzami, doprowadzający często do złapania nawet nie do końca wylinionego zwierzątka, aby tylko zdążyć przed sąsiadem. Po nowym roku jedynie swojego kota można było do skrzynki złapać. Wszystkie było już wyłapane. Pozostały jedynie te, którym kiedyś udało się ze skrzynki wydostać, stanowiąc w ten sposób osobniki rodzicielskie na następny rok. W wielu domach równowartość sprzedanych skórek stanowiła wielkość mikołajkowych prezentów dla dzieci. Drugi taki moment dla dzieci przypadał przed okresem odpustu tuchowskiego. Na kapelusz i inne cudeńka należało sobie jednak wcześniej zarobić porannym zbieraniem borówek. Porannym, bo należało wrócić mniej więcej do zejścia rosy, kiedy trzeba było już rodzicom pomagać w polu lub popaść krowy. Ciężki żywot miał też kret w obejściu czy ogródku. Całkowicie prawie została wytępiona żmija, mocno przetrzebione inne węże, którym przypisywano właściwości lecznicze dla krów. Zapalenie wymion leczono kadzeniem - dymem z wysuszonego węża, a napar był na tzw. „przypieczynie”. Przypiečeniem zaś była każda choroba, której objawami była osowiałość i brak „żwieki” (przeżuwania) u bydłęcia.

Tutaj musimy sobie zdać sprawę z kolejnej charakterystycznej cechy naszego regionu. Chodzi mi w szczególności o duże zaludnienie i rozproszenie gospodarstw, co powodowało olbrzymią eksploatację pól i lasów. Pozyskiwane było wszystko, co mogło w jakikolwiek sposób być wykorzystane. Z lasów zbierano wszelkie owoce i grzyby, pozyskiwano ognite pniaki ze ściętych drzew (głównie dębu), chrust, grabiono ściółkę, w której często szukały zimowego schronienia właśnie owe żmije. Coroczne pobieranie tej materii organicznej doprowadzało do jałowienia wierzchniej warstwy gleby (borowacenia siedlisk) i jak to starsi wspominają *„Downi to nawet w grabinie za stołą borówek nazbiyroł, a teraz to ino chabzie rosną”* Bezwzględnie tępione były ptaki drapieżne, jak i kruki, wrony czy sroki. Te znowuż, za szkody czynione wśród kurcząt i innego ptactwa domowego. Zwyczajem regionalnym było tzw. pieczenie srok na Zielone Świątki (pieczone były młode, wybrane z gniazd tłusciutkie pisklęta, stare osobniki zawieszane były na tyczkach jako strachy). Z takiego to pewnie postępowania wobec zwierząt powstało powiedzenie „Chłop żywemu nie przepuści”. Analfabetyzm, ciemnota i zabobon

panowały bezkresnie. Zdolności czarodziejskie zdecydowanie częściej przypisywano babom niż chłopom. Przeważnie do zadań zielarek należało leczyć, odbierać porody a także odczyniać uroki. Tymi urokami były najczęściej nagle potliwosci i popłoch koni czy zabieranie krowom mleka. Rude i z wyrazistymi oczami (*šlypate*) kobiety miały ponoć największe moce negatywne i najlepiej by było, żeby starymi pannami zostały, co by się „czarodziejstwo” po świecie nie pleniło. Wystarczyło, żeby taka kurę albo świnię za urodę popodziwiała, a już nieszczęście gotowe, chyba że zawczasu człowiek trzy razy przez lewe ramię, z odrząą splunął.

Mieszkańcy wsi dzielili się pod względem zamożności, głównie ze względu na ilość posiadanej ziemi. Niektóre zawody jak młynarz czy kowal należały do zamożniejszych. Była klasa małych rolnych chłopów, często nieposiadających własnej siły pociągowej (koń lub wół), wykonujących wiele prac zwózkowych „sobą”, w oparciu o małe lekkie wozy lub tzw. biedę (zwana również karami - drabiniasty pojazd jednokołowy w typie taczek, jednak większy i bez skrzyni, który zaopatrzony dodatkowo w pasek od rączek na szyję, pozwalał na przewiezienie nawet kilku kop zboża). Biedota skazana była na wyrobnictwo za marny grosz lub kilka wiązek słomy. Co bardziej zaradni z nich próbowali dorabiać wykonując jakieś niskonakładowe zawody, typu robienie brzozywych miotł itp. Ta grupa najbardziej była narażona na tzw. przednówki (okres wczesnej wiosny jeszcze przed pojawieniem się pierwszej, jadalnej roślinności). Wszyscy natomiast jednakowo uzależnieni byli od urodzajności danego roku. Pomimo wszechobecnej biedy i wzajemnej konkurencji o żywność wieś była bardzo zintegrowana. Nie było „mass mediów”, więc wszelkich nowości „ze świata” można było się dowiedzieć jedynie podczas wspólnych rozmów. O ile mężczyźni przy okazji spotkań niewiele poza „kurzeniem” i pluciem na klepisko robili, kobiety przędły, „darły” pierze itp.. Często takim spotkaniom towarzyszyły zabawy z przygrywką. W okresach świątecznych były one nawet bardzo częste, przybierając formy muzyczno-teatralne (herody, kobyłki i wiele innych). Dostarczycielami nowinek „ze świata” byli powracający z wojska żołnierze, listy od emigrantów, jak i wędrujący po wsiach bezdomni zwani „dziadami”.



Zmiany cywilizacyjne

Na przestrzeni wieków następował wolniejszy lub szybszy rozwój cywilizacji. Nieporównywalnie wolniej następował on jednak w rolnictwie, szczególnie tym specyficznym, jakie było w naszym regionie. Trzeba sobie uzmysłowić, że od średniowiecza do końca XIX wieku ten postęp nie był aż tak imponujący. Owszem, drewnianą sochę zastąpił żelazny pług, wola lub człowieka - koń, trochę zmieniły się sposoby uprawy, ale to jeszcze nie była żadna wielka rewolucja. Przez cały ten czas posiadanie ziemi stanowiło o zamożności i determinowało dostatek, bądź skrajną biedę. Najczęściej nawet ci wykonujący te poszczególne zawody także posiadali ziemię, a zawód pozwalał im głównie na dorabianie. Dostatek objawiał się nie tylko w wymiarze żywnościowym, ale i w pozostałych dziedzinach życia, jak: wielkość chałup, stroje, wystawność mebli, zdobność wozów czy sanek. Tak ta nasza wieś i rolnictwo wiekami funkcjonowało, nieznacznie się zmieniając (chata dymna stopniowo zmieniała się na chałupę z piecem dynarkowym, czeluściami, kapą i kominem, potem dopiero w ceglaną kuchnię z blachą). Kurne chaty dotrwały jednak nawet do drugiej połowy dwudziestego wieku. Przy tak powolnym postępie ogromną rolę społeczną odgrywała przekazywana z pokolenia na pokolenia wiedza. W przeciwieństwie do naszych czasów, następne pokolenie długo uczyło się od poprzedniego, a opór do wczesnego przekazywania ziemi czy w przypadku rzemiosła wiedzy fachowej, jeszcze bardziej ten postęp spowalniał. Przełomem była dopiero druga połowa XX wieku. Wkraczająca elektryfikacja, rozwój przemysłu, tworzący się rynek pracy poza rolnictwem, wojenna poniewierka i wzrost świadomości społecznej, skutkował gwałtownym przyspieszeniem zmian. Coraz bardziej już nie ziemia, ale wiedza i dobra praca dawały większy zysk i dostatek. Rzucanie się chłopów pod gąsienice buldożerów budujących Nową Hutę już w następnym pokoleniu zamieniło się w oddawanie ziemi za rentę, bo młodzi wyjechali do miasta. Okres „gierkowskiej” megalomanii (okresowy sztuczny wzrost dochodowości z rolnictwa) zniszczył architekturę wiejską. Piękne, ręcznie robione meble zastąpił tzw. meblöściankami, nierzadko zasłaniającymi drugie okno w pokoju. Powstały olbrzymie, niefunkcjonalne betonowe gmachy,

stanowiące jakby odreagowanie od „psychozy ciasnoty” w jednej izbie. Wejście kultury masowej doprowadziło do zaniku autentycznej kultury i twórczości ludowej. Wieś zaczęła powoli tracić swą tożsamość. Tu należałoby zadać pytanie – dobrze to czy źle?! Dobrze, bo zniknął problem wszechobecnej nędzy, ale zachwyt nad nowym doprowadził do bezmyślnego niszczenia wszystkiego, co stare. Nie można się też temu zbyt dziwić – po prostu zapanał taki nastrój społeczny! Przewartościowanie źródeł dochodów, przy jednoczesnym braku zmian w strukturze własności, doprowadziło na przestrzeni ostatniego półwiecza, do bankructwa dawnego sposobu gospodarzenia i zaginięcia wielu tych okółorolniczych zawodów. Możliwość pracy zarobkowej poza wsią, wyjazdy zagraniczne, osiągnięcia XX wiecznej techniki ich żywot dokończyły. Odeszła wieś Reymonta, odeszła wieś Kawalca, Redlińskiego czy Myśliwskiego. Inaczej trochę ze wsią Wyspiańskiego – ona już wtedy, w Jego wizjonerstwie, drżała w swojej podstawie. Globalizacja wkroczyła i tu. Zachód zachwyca się zaradnością naszych fachowców – już niedługo, bo nowe pokolenie nie zmuszone do ciągłego „kombinowania”, jak by tu coś z niczego zrobić, dość szybko tę cechę zatraci.

U jednych po latach pozostał sentyment, inni nie chcą nawet o tamtych czasach trudu i biedy rozmawiać.

Dziękuję wszystkim, którzy mnie wiele nauczyli i wiele zechcieli opowiedzieć, szczególnie ojcu, że nie zrażał się, gdy wszyscy wokół na Jego bajdurzenie się krzywili.



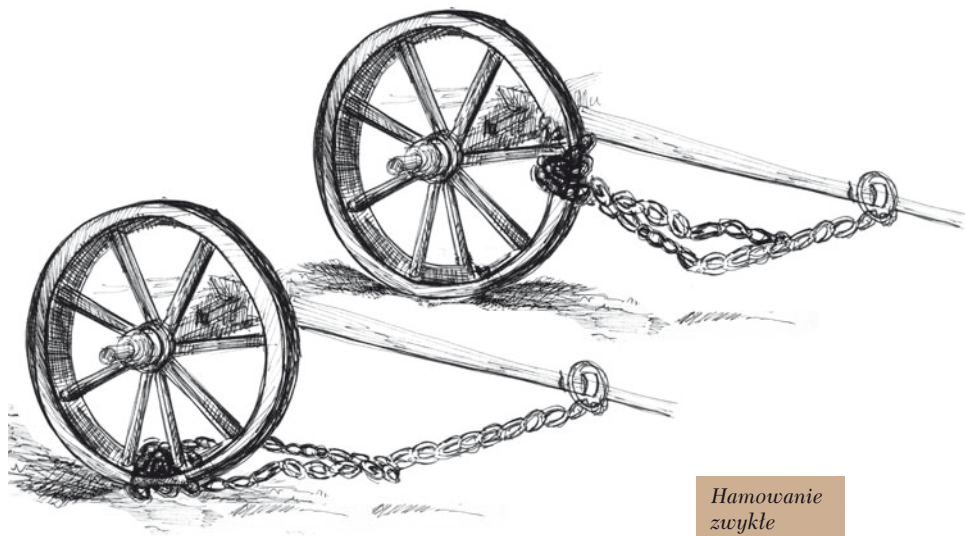
Rolnik – rolnictwo i towarzyszące mu prace gospodarskie

„Jak się kolca nie przewracają, to przechyliisko niewielkie”



Geneza naszego krajobrazu wiejskiego

Gdy gdziekolwiek w naszym regionie wyjdziemy w pola, zobaczymy, jak mówią do nas wieki. Przecież ta szachownica różnokształtnych poletek musiała jakoś powstać! Niegdyś jednolite, naturalne zbocza wzgórz poora-
ne są poprzecznie garbami miedzi, rzadziej wzdłuż spadku wije się głęboki wąwóz. Jedyne, na bardzo ostrych zboczach zagłębieni i lokalnych wierz-
chowinach, znajdziemy resztki dawnych lasów. Tak, jak teraz widzimy poru-
szające się samochody, jeszcze 30 lat temu, widać było wszędzie chodzących
„na piechotę” ludzi oraz jadące furmanki. Drogi i miedze wypasione były do
„gołej ziemi”, a jedynym sposobem hamowania było zasmyknięcie (zapię-
cie) łańcuchem koła od wozu, unieruchamiające go całkowicie. Przy dużych
spadkach zamykano, zapinając nie tylko za szprychę, ale dodatkowo owijając
koło łańcuchem tak, aby podszedł w miejsce styku z ziemią.



*Hamowanie
zwykle
i „na ostro”*



Ponadto tonaż pojazdów, jak i siła uciągu była niewielka, co generowało dużą ilość przejazdów. Nie było rowów obok dróg, a cała woda schodziła właśnie tymi koleinami. Głównie to hamowanie „na ostro” ułatwiające erozję wodną, rzeźbiło owe głębokie wąwozy. Obecnie, wiekami rzeźbione, dawne wąwozy najczęściej zarosły, roślinność i nawiewane liście, powodują powolne ich wypełnianie. Garby miedzy, to z kolei efekt wielokrotnej orki wykonywanej w poprzek zbocza, która przy dużych spadkach możliwa była często jedynie w jedną stronę. Odkładana wielokrotnie skiba w dół lub nieco obsuwająca się ta odkładana w górę, przesuwiała z biegiem lat całość ziemi powodując powstawanie charakterystycznych tarasów. Granicznym spadkiem stoku, uniemożliwiającym już wykorzystanie orne ziemi, była sytuacja przewracania się kolec (urządzenie podpierające grązel pluga i umożliwiające ustalanie grubości orki) na skutek pochyłości.

Rolnikiem w tamtych czasach był prawie każdy mieszkaniec wsi. Rolnictwem można by nazwać prawie całość wykonywanych w ciągu roku czynności w polu, domu i zagrodzie. Jedni robili to lepiej, inni gorzej, wielu z zamilowaniem, inni z konieczności. Wielu „marzycieli i muzykantów” chętnie poszłoby w świat, ale z czym i po co? Posiadanie ziemi było prawie jedynym gwarantem bytu.



Plug z kolecami



Lokalizacja i układ zabudowań oraz upraw

Gospodarstwo rolne stanowiło pewną integralną całość, służącą za pomieszczenia do przebywania ludzi i zwierząt domowych, jak i przechowywania nagromadzonych produktów rolnych i różnego rodzaju sprzętów. Całość zlokalizowana była najczęściej w najgorszym rolniczo miejscu, bo ładne, proste pole mało kto mógł na „zmarnowanie” pod zabudowę przeznaczyć. Chałupa, stajnia, stodoła, piwnica i studnia stanowiły konieczne zabudowania gospodarstwa. Często były to budynki połączone. Obora połączona bywała ze stajnią w sposób równoległy, narożny lub znajdowała się w dolnej części budynku. Układ zależał w dużej mierze od konfiguracji terenu. W biedniejszych domach zwierzęta przebywały pod jednym dachem z ludźmi. Najczęściej z jednej strony sieni, biegnącej przelotowo w poprzek budynku, była stajnia i komora (spichlerz), a z drugiej przechodnia duża kuchnia i izba (pokój). W sieni z jednej strony była drabina na strych, a z drugiej grzęda dla kur. Czasami bezpośrednio z sieni znajdowało się wejście do podkomorowej piwnicy. Także żarna musiały się gdzieś w kącie zmieścić. Zamykane na klucz było wejście frontowe i komora, w której znajdował się zapas żywności na cały rok i żeby go wystarczyło, musiał być najczęściej mocno przez gospodynię racjonowany. Strych chałupy wykorzystywany był do przechowywania siana, stanowiącego jednocześnie ocieplenie zimowe. W obejściu najczęściej był jeszcze ogródek, koniecznie z kaliną i jaśminem w narożnikach, zlokalizowany przed frontową częścią kuchni i izby, tak, aby cieszyć kwitnieniem oko gospodyni. Było zwykle kilka drzew owocowych oraz lipa dająca cień i liście do zimowego gacenia (zewnętrzne ocieplanie) chałupy. Ziemny dołek przy stajni, w miejscu zacienionym, stanowił gnojowisko, do którego przylegał, przeważnie niedbale wykonany, wychodek. Na sprzęty rolnicze najczęściej brakowało miejsca, stąd zawieszane były na ścianach budynków. Uprawa ziemi, zbiór plonów, hodowla i całoroczne utrzymanie funkcjonowania takiego gospodarstwa należało do zadań całej rolniczej rodziny. Zakres obowiązków był jednak ściśle podzielony. Chałupa, dzieci, ogródek i wszystka zwierzyna, poza końmi, była na głowie gospodyni. Sad, konie, wozy, naprawy i budowy na głowie gospodarza.





W ramach posiadanej przez danego rolnika ziemi, musiały zmieścić się wszystkie konieczne do funkcjonowania gospodarstwa uprawy. Dobrze było, jeżeli przynależał również kawałek lasu i łąki. Musiała być przeznaczona rola na zboża - pszenica, żyto, owies, jęczmień, okopowe - ziemniaki, buraki, brukiew i rzepę (te najczęściej jako poplony). Trawy pozyskiwano głównie z łąk, pozostawianych bez orki pastwisk i ugorów, a nawet z śródleśnych młak, zwanych ze względu na niewielkie obszary „loneckami”. Bób czy groch wsadzany był w ziemniakach, mak wsiewany w burakach, len, konopie, proso, jak i warzywa miały oddzielne poletka. Kapusta - jako warzywo podstawowe - wysadzane było w postaci jednego, dwóch rzędów wzdłuż ziemniaków. Tu przypomina mi się opowieść jak chłopcy z Olszyn pierwszy raz w życiu jechali pociągiem do cukrowni. Wsiedli na stacji, rozlokowali się, zaczęli kurzyć i grać w karty, potem pozasypiali. Po przebudzeniu, gdzieś w poznańskim, jeden podszedł do okna i zobaczył wkoło kapustę. Podszedł do przeciwnego okna – też kapusta. Zbudził wylękniony kamratów alarmując, że pociąg przez środek kapusty jedzie, traktując co najmniej trzy rzędy. *„Matko Bosko bez kapuste jedzie i jak mu nie skłoda”!* Opowieść ta obnaża świadomość ludzi, widzących zawsze jedynie dwa rzędy kapusty, którym nie mieściło się w głowie, po co komu tyle kapusty, jeśli każdy ma przecież swoje dwa rzędy. Ponadto tory widzieli tylko na stacji, a potem z pociągu już nie, stąd nie bardzo wyobrażali sobie, jak dalek jedzie.

Na dobrą sprawę gospodarstwo było prawie samowystarczalne, w zależności od zaradności mieszkańców korzystało jedynie z niewielu usług zewnętrznych. Konieczność wyjazdu poza wieś była niezmiernie rzadka.

Rolnicy, jak wszyscy różnili się jakością wykonywanej przez siebie pracy. Widoczne to było prawie w każdej czynności. Jakość orki, siewu, krzywizna rzędów, rozłożenie się kop siana czy wygląd ścierniska była przedmiotem wzajemnych „podśmiewek”. Nierzadko, nie miało to znaczenia co do plonów, ale było okazaniem niedbałości wobec ziemi żywicielki.

Całoroczny cykl prac

Rok prac polowych był ściśle powiązany z rokiem liturgicznym. Poszczególne roboty zaczynało zgodnie z nadchodzącymi świętami. Siew np. należało zacząć po 8 września (święto zwyczajowo zwane - Matki Boskiej Siewnej). Czynności gospodarcze były w ciągu roku dość schematyczne, wypracowane przez wieki i wynikające głównie z możliwości czasowych. Nikomu np. nie przyszłoby do głowy bieleć domu we żniwa. Na to był czas wczesnej wiosny, jeszcze bez nawału robót polowych. Wtedy należało „odszarżyć” zakopconą zimowym dymem chałupę, jak i pobielić zaczynające kwitnąć sady. To bielenie nie miało tylko znaczenia estetycznego. Odkazające właściwości wapna, były jedynym stosowanym sposobem na walkę ze szkodnikami drzew owocowych. Zabezpieczały ponadto przed przymrozkami późnymi, odbijając część promieni słonecznych pobudzających przedwcześnie drzewo do życia.

Wiosna – czas siewów

Wiosna zaczynała się od siewów owsa - wykonywanych o ile to było możliwe - jak najwcześniej. Siew był wykonywany ręcznie, dawka nie była przeliczana na hektar, ale od wieków dopasowywana do danego kawałka pola (stajania), które miały najczęściej wielkości nieprzekraczające pół morga (ok. 28 arów). Po wysianiu zboża należało pole zawlec tzw. sposobem „na kosę”, polegającym na zataczaniu coraz większych elips zaczynanych w jednym z narożników. Konie zjadały wtedy resztki najlepszej paszy (siana, owsa i dobrze „omaszczonej” siczki). Niestety, najczęściej tej samej paszy brakowało krowom czy innym przeżuwaczom. Nieraz dochodziło do sytuacji, że trzeba było je dźwigać, bo same nie były w stanie wstać. Powiedzenie „W Imię Boże koza wstój” wypowydane tuż przed rozpoczęciem podnoszenia, przeszło do języka potocznego. Do podniesienia krowy potrzebnych było co najmniej kilku mężczyzn. Podniesiona krowa i dodatkowo wyprowadzona na nowiznę (nowo wyrastająca trawa) stopniowo odzyskiwała siły i mleko (lokalnie mówiono „Późnie na trowe, to się i locnie”).





Różne robaczyce, promienice, gzy i słaba pasza powodowały, że 2/3 cielęcia po odstawieniu od cycka, kudły i rozdęty bebecz (brzuch) stanowią. Dostawało ono dodatkowo bardzo pejoratywne przezwiska, typu zamorzdżolek (zamorzołek) czy morchołek, jakby to ono było czemu winne. Przed wiosennym wyganianiem, żeby się sąsiedzi nie śmiali i od dziadów nie pomawiali, należało go ostrzyć. Czasami stosowano powierzchowne opalenie sierści poprzez przetarcie sierści spirytusem (nie dochodziło do oparzeń, bo spalały się jedynie włosy długie). Wskazane było jednak dla bezpieczeństwa, cielaka ze stajni wyprowadzić. Wiosenna trawa szybko wyrastała, można było wypasać krowy, ale tak, aby zaoszczędzić jak najwięcej łąk i pastwisk na siano. Gdy ziemia się już odpowiednio nagrzała, należało sadzić ziemniaki. Była



to robota zbiorowa. Jedni chodzili do drugich, wzajemnie sobie odrabiając pomoc. Do pięknych widoków należał uporządkowany ukośny rząd kobiet i mężczyzn przykopujących motykami rzędy. Ta wspólnotowa, wymienna praca, wydawałoby się bez podstaw logicznych, była determinowana potrzebą szybkiego jej wykonania, zdążenia przed ewentualnym deszczem.

Przełom wiosny i lata – czas sianokosów

Nadchodził czas sianokosów, prac w miarę lubianych, ale niezmiernie zależnych od kaprysów pogody. Poszczególni gospodarze różnili się jednak znacznie jakością przygotowania kos i umiejętnością koszenia. Kosa była uważana już za „wielką maszynę”, stąd nie dostawały jej do ręki młodsze dzieci. Jedynie gospodarz i prawie dorastający syn mógł się nią posługiwać. Starannie wybierany był też materiał na kosisko. Była to jodłowa podsucha (usychające z powodu zacienienia czy gęstwiny młode drzewko). Z uwagi na wybitną cieniowyttrzymałość jodły, drewno takie było bardzo gęste, przez co gwarantowało dużą wytrzymałość. Zwykle z jej wierzchołka wykonywano jeszcze montewkę (rogalik) do rozwiercania dziamy (mąka razowa na wodzie lub mleku). Bardziej zapobiegliwi (szczególnie ci, którzy mieli własny kawałek lasu) mieli przygotowane wystarczającą liczbę rogali, wykonanych z jodłowych lub świerkowych wierzchołków. Rogal taki, dzięki swoim odgałęzieniom, pozwalał na skopienie niezbyt suchej runi, przeciwdziałając zleganiu się siana. Jeżeli dodatkowo był odizolowany od ziemi szczelbelkami, był dobrze zakopiony (nałożona czapa z wilgotniejszego siana lub słomiany chochoł) mógł praktycznie bez strat długo stać. Wylegał jedynie placek trawy bezpośrednio pod sobą i mnożył myszy polne znajdujące tam doskonałe schronienie. Zwózka odbywała się drabiniastymi wozami, takimi samymi jak do zwożenia snopów zboża. Górny drąg drabin (zwanych lytrami) zakończony był tzw. nosem (rzadziej dorabiany, najczęściej jako samorodek - główny korzeń boczny młodej jodły lub świerka). Zwyczajem też było, aby takie drzewo pozyskać na sąsiedowym. Sprzyjały temu dwie okoliczności: było ono wykopywane z korzeniami przez co nie zostawiało śladów oraz to, że na swoim, niezmiernie żał było młode drzewo ucinąć. Podobnie było





z wierzchołkami i gałęziami jodłowymi, pozostawionymi w lesie po zabraniu pnia. Dopisywano sobie, że pewnie to już nikomu niepotrzebne i chętnie podkradano (wierzchołek na rogal do siana, a gałęzie na szczeble do drabin). W celu poszerzenia lytry z przodu podwieszane były na tzw. luśniach zakładanych na zewnętrznych nakrętkach osi (przyśtuskach).

Ułożenie luźnego, drobnego siana na furze było już sztuką. Była to wręcz robota inżynierska, należało odpowiednio siano ze sobą wiązać (tak układać, aby wzajemnie zachodząc, pozwalało na rozbudowanie fury na boki). Od góry siano, na czas transportu, dociskane było wzdłużnie drągiem zwanym pawężem przywiązanym powrozami do lyter. Nierazadkiem przypadkiem, było wywrócenie wozu z sianem lub zjechanie części siana z którejś strony. Szczególnie ten drugi przypadek nie był powodem do dumy, świadczył źle o układającym na wozie. Istniało też pojęcie „przewalonej fury”, czyli jednostronnie wyższej, czego powodem, była zła współpraca ludzi na ziemi z układającym na wozie. Najczęściej zdarzało się to w przypadku pochyłego terenu, na którym układający odruchowo dążył do poziomego ułożenia siana. Generalnie, im fura była szersza i po równo rozłożona, pozwalała więcej przewieźć na raz i zmniejszała się możliwość wywrotki. Wielkim honorem



dla gospodarza było przywieźć taką furę, żeby się na boisko (lok.błojisko - centralna część stodoły, na której wykonywano wszystkie prace) ledwo mieściła (pod górną belkę zrębu).

Lato – czas żniw

Mijały tygodnie, jedna robota drugą gonila, a wszystko zdążało ku żniwom. Przekwitały już lipy, a kto miał koło domu jakie ule, zabierał pszczołom trochę słodkości, żeby częścią dzieci pocieszyć, a resztę do wigilijnej kutii pozostawić.

Należało się na czas potu i mordęgi nieco się przygotować z ubiorem. Kupić sobie kapelusz podczas tuchowskiego odpustu. Przeznaczyć na zmarnowanie jakąś wychodzoną już białą „kościolową” koszulę, chroniącą nie tylko przed słońcem, ale i kłującymi ościami żyta czy jęczmienia. Podczas żniw taka koszula się już całkowicie zniszczyła, ale jesz-



cze nadawała się na wiecheć do zatykania dziur wygryzionych przez myszy w sásiekach. Żniwa należało rozpocząć w sobotnie popołudnie, jako dzień poświęcony Matce Bożej. Najwcześniej zaczynały się żniwa żytnie. Wczesna faza dojrzałości gwarantowała większą wytrzymałość słomy, którą wykorzystywano do wyrobu powróseł, chochołów i kicorek, aby przed zimą poratować dach chałupy czy stodoły. Zasada była prosta, jak leniwy chłop przed zimą do dachu nie poszedł, to w zimie pod ciężarem śniegu dach do niego przyszedł. Szybko należało też to pole uprzátnać, aby w jego miejscu nasadzić brukwi (korpiele) lub zasiać rzepy. Wtedy dopiero przystępowano do żniw pszenicznych. Za mocnym kosiarzem musiały iść co

najmniej dwie odbierające, z kolei, za posiadującym co chwila dziadem, nawet jedna mu na pięty nastawała. Powoli falujące łany zbóż zamieniały się w rzędy kop, a o ile pogoda pozwalała i te powoli zaczynały znikać do stodół. Wszystko odbywało się z największym szacunkiem dla „zbieranego chleba”. Opadające przy kopach żdźbła należało podnosić do góry, żeby do nieba pozierały, dzieciom zabraniano bezmyślnego skakania po snopach, żeby zboża nie wymłóciły i kary Bożej nie ściągnęły. Wierzono bowiem, że Pan Bóg stworzył zboże bez słomy, kłos od samej ziemi, ale oburzony na niewdzięczność ludzką osmyknął je od dołu, jedynie Maryja złapała za koniec i tak się kłóska ostało. Teraz jednak trzeba znoju dokładać, aby je na chleb całoroczny zebrać. Ostatni pokos był dla wszystkich szczęśliwy, nawet dzieci mogły w niego wejść, wyganiać przepiórki. Te bywały rzadziej, mnóstwo natomiast było koników polnych oraz różnej wielkości żab i ropuch.

We żniwa pracowano często całymi dniami, wynosząc posiłki w pole. Takim charakterystycznym posiłkiem w polu była jużyna (podwieczorek lub drugi regenerujący siły obiad). Tu przypomina mi się opowiadanie jednego z gospodarzy, o swoim sąsiedzie, obrazujące dawne czasy. U bogatego gospodarza, na polu znacznie ode wsi oddalonym, pomagali przy snopkach mieszkający po sąsiedzku chłopaki (skłoty) wywodzący się z okolicznej biedoty (płolajcuchy). Pracowali oczywiście, mając nadzieję, jedynie porządnie pojeść. Dzwony południowe wybiły, Anioł Pański odśpiewali, a o obiedzie ani słychu, ani dychu. Gdzieś koło czwartej zmęczeni i załamani zaczęli coraz wolniej pracować. Co też zauważywszy gospodarz spojrzął w kierunku, skąd posiłek miał nadchodzić i pomimo, iż nikogo jeszcze nie widział, zachęcał chłopaków do dalszego wysiłku mówiąc: *„Róbcie skłoty, róbcie, Ludwika co ino nie idzie z obiady”*.

W urodzajnym roku snopy nie mieściły się do ciasnych stodół, wtedy składowano je w duże stogi zabezpieczające przed zamoknięciem. Szczególnie należało uważać, aby ze snopkami żaby z pola nie zabrać, bo wtedy na pewno się fura w drodze wywali. Na młóckę był czas w zimie, teraz kobiety grabiły ściernie, dzieci zbierały utracone kłóska, a chłopcy rozpoczynali podorywki (pokładanie, pokładackę).





Wczesna jesień – czas wykopków

Powoli kończyło się lato, nadchodził czas wykopków, nierozłącznie kojarzący się z zapachem łątwinowych ognisk. Zadaniem dzieci było wybieranie grochu, dorosłych wyżęcie bobu. Groch najczęściej składany był do wyschnięcia na plotach i pod dachem powyżej pogródek, bób natomiast kopiony, a że nie można było z niego kręcić powrósł, trzeba było stosować słomiane. Stosowano też zawieszane na rogalach, ale najlepiej w taki sposób, aby nie dotykały ziemi. Skośno, rzędami, jak przy sadzeniu, ruszały do dzieła motyki. Część ziemniaków zbieranych do wiklinowych koszy, łądowała na wozach z pakami, część na kupkach do późniejszego zwożenia. Współpraca sąsiedzka była konieczna, chyba że rodzina posiadała już dużą ilość dorastających dzieci, a „łaskawy rok” pozwalał na rozpoczęcie prac przed pójściem dzieci do szkoły. Zwyczajem było wzajemne pożyczanie wozów czy sprzążki koni (parowanie zaprzęgów z dwóch pojedynków). Ziemniaczysko było niezwłocznie po wykopkach wleczone, a pokazujące się ziemniaki powtórnie zbierane. Powtórne zbieranie odbywało się jeszcze po pierwszym deszczu, który jeszcze coś odsłonił. Ostatnie odbywało się podczas orki. Za każdą skibą biegała gromadka dzieci i zbierała, najczęściej poprzecinane lemieszem, pozostające w ziemi, niedobitki ziemniaków. O ile z początku była to przednia zabawa, to pod koniec stawała się tulaczką, jedynie skutkiem pokrzykiwań orzącego wykonywaną. Nieciekawie wyglądała dla dzieci chwila, gdy gospodarz zatrzymał konie, na skutek zauważenia przed pługiem nie zebranego dorodnego ziemniaka. Nadeszła rewolucja kopaczek, która po pokonaniu oporu starszych wiekiem (jakoby wiatrak koparki całkowite gnicie ziemniaków miał powodować) motykę jedynie do tzw. kopania końców (zakończenia rzędów potrzebne do zawracania) odsunęła.

Późna jesień i zima

Z tego, co zebrano należało żywić ludzi i zwierzęta do następnych zbiorów. Pozostały jeszcze zbiory warzyw a przede wszystkim czas szatkowania kapusty, od której w dużej mierze zależało zdrowie ludzi. Należało też zebrać pozostawione na nasienniki rośliny, zawiązać je w plachtę

i zawiesić w słońcu pod okapem, żeby się wysypały. Na polach, podczas orki, zaczęły się pojawiać gromadnie wrony zimę łowieszcząc. Siewy jesienne praktycznie zwińczały roboty polowe na dany rok. Wszystko było zebrane, a broniona przedtem każda pięć ziemi powoli stawała się wspólna - pozwalamo już na skracanie przejazdów (tzw. jazda po cudzym gruncie). Całkiem, wskroś pól, jeździło się już w dni zimowej sanny, do lasu po drewno budowlane lub w pole z gnojem. Gnojź należało wywieźć na przyzmy w polu. Dawało to podwójny zysk: napowietrzony gnojź lepiej się rozkładał, pozwalało to także wcześniej rozpocząć prace wiosenne, na co zalegający w wąwozach śnieg i mokradła wiosenne jeszcze długo by nie pozwoliły.

Nie było już uciążliwych bąków, należało więc wyruszyć w las po opał. Do lasu najlepiej było jechać co najmniej we dwóch, a to i ze względów bezpieczeństwa, jak i specyfikę tej pracy. Niewielu spośród gospodarzy było tzw. chłopami „lascowymi”. Las wymagał odwagi i zaradności, a wiele rzeczy należało zrobić tzw. „sposobym”, inaczej przerastały możliwości ludzi i koni. Zarówno ludzie jak i konie dostawali w lesie lekkiego „zdziczenia” pracując jak w amoku. Nagły deszcz, zerwanie łańcucha do hamowania, złamanie zwojny (bezszcena surowa gałąź, którą zaciągano opasany łańcuchem wóz z ładunkiem w celu zapobieżenia przesuwania ładunku) powodowały poczucie podenerwowania i ciągłego pośpiechu.

Rozpoczynał się też czas omlotów. Szły w ruch cepy, rajtoki, przetaki i różnego rodzaju wiejadła. Przechodząc koło domów bez problemu można było rozpoznać, ile osób przy młocce pracuje. Jednostajne łup, łup, łup - oznaczało jedną osobę, dwutaktowe łupu cupu, łupu cupu - oznaczało dwie osoby, a łup cup cup, łup cup cup - trzy. Niejedna kontuzja też miała miejsce, bo to bijak się urwał, to młockarze rytm stracili. Olbrzymim postępem było pojawienie się kieratów, którymi można było napędzać większość maszyn (młocarnie, młynki, żarna). Jedynie koń, chodzący w kółko jeszcze mniej miał wytchnienia, z ciężaru i nudy opuszczał głowę przybierając bardzo lichy wygląd. Określenie „*Zakręcony jak koń w kieracie*” przeszło do języka potocznego. Było nowe ziarno i nadchodził zimowy odpoczynek, stąd nowy chleb smakował podwójnie.



Św. Marcin wkra-
czał na siwym koniu
(nadchodziły mrozy).
Okres świąteczno -
noworoczny, stosun-
kowo mniej pracow-
ty, pozwalał zawiązać
trochę sadła (utyć),
które późniejszy post
i przednówek skutecz-
nie redukowały.

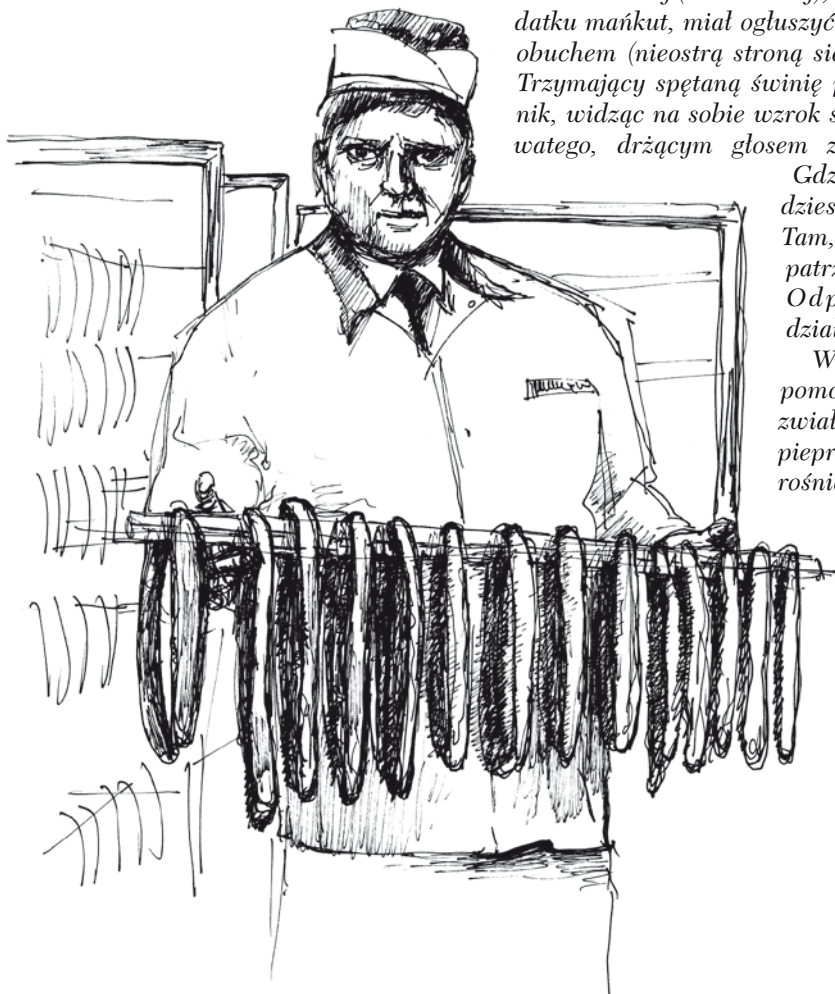
Z wiosną rok za-
czynał się od nowa,
a chłop chociaż w tym
czasie „ładacy” (słaby),
od nowa szykował się
do połowych robót.

Rzeźnik

Zezowaty (świdrowaty), a w dodatku mańkut, miał ogłuszyć świnię obuchem (nieostrą stroną siekiery). Trzymający spętaną świnię pomocnik, widząc na sobie wzrok świdrowatego, drżącym głosem zapytał.

*Gdzie będziesz bił?!
Tam, gdzie patrzę!
Odpowiedział.*

*Wtedy
pomocnik
zwiął gdzie
pieprz
rośnie.*





Po pierwsze, prawie nie było sklepów. Po drugie, nie było pieniędzy, żeby sobie gotowego mięsa w jatce u Żyda kupić. Po trzecie, pojęcie wegetarianizmu było prawie nieznanne. Po czwarte, ludzie w kółko jedli dziamę (paciare, od której nawet olpian - „Paciarożami” zwano). Dostatkiem już było, jeśli była na mleku. Głód, potrzeba spożywania mięsa była więc przemożna. Wszelki hodowany zwierz był bardzo cenny, zarówno jako towar na sprzedaż, jak i dostarczyciel wartościowej żywności.

Wszelki drób czy mnożące się bez pamięci pod koźmi lub krowami niewielkie króliki, zabijane były przez gospodarzy bądź starsze dzieci. Drób raczej przez kobiety, a króliki przez mężczyzn. Do większych zwierząt, a szczególnie do uboju (szlachtowania) świń wzywany był rzeźnik. O ile owce, kozy czy bydło ubijano, pozyskując mięso i skórę, bez wykonywania bardziej skomplikowanych wyrobów, to ze świni robiono od razu wiele wyszukanych produktów. Nic ze zwierzęcia nie mogło się zmarnować, wykorzystywane było absolutnie wszystko.

Brak odpowiedniej wiedzy weterynaryjnej, jak i niedożywienie zwierząt powodowało wiele schorzeń. Cielaki często rodziły się z przepukliną (tzw. oparzeliste), z wadami postawy (kłośloce) itp.. Dorosłe osobniki wchodząc w szkodę często dławiły się ziemniakiem, jabłkiem czy burakiem albo wzdymały się od młodej koniczyny. Takie dobijano. Zdrowe osobniki w ogromnej większości przeznaczone były do dalszej hodowli, jedynie z okazji wesela zabijano oprócz świni, byka czy w pełni zdrową jałówkę.

Dzień świniobicia, przeważnie jeden w roku, był dniem szczególnym. Oznaczał, że pomimo racjonowania, nadchodzą dni dostatku. Na ten dzień należało koniecznie przygotować wędzarnię, koryto, różnej wielkości cebrzyki, stolnicę czy nawet patyczki i dratwę do wiązania jelit. Ze względu na brak lodówek, świniobicia dokonywano w zimie, najczęściej przed Bożym Narodzeniem. Jedynie na wesela czy prymicie zabijano i latem, ale wtedy nie było potrzeby przechowywania, bo w ciągu kilku dni wszystko zostało zjedzone. W przypadku uboju z konieczności, wypadającego w lecie, dużą część rozdawano między sąsiadami, licząc oczywiście na przyszły rewanż. W celu zabezpieczenia przed muchami mięso obkładano pokrzywami, potem

przenoszono do kamiennych piwnic, stosowano również - podobnie jak dla serów czy masła - przechowywanie poprzez umieszczenie między kawałkami lodu zasypywanego trocinami.

O świcie przychodził rzeźnik, przynosząc ze sobą noże, maszynkę do mielenia, kolki do podwieszania i ewentualnie zasolone jelita. Gotowość świnii należało wcześniej sprawdzić poprzez naciśnięcie palcem na karku, jeżeli odkształcenie miało kolor biały, świnia posiadała już odpowiednio grubą słoninę (spyrkę), co świadczyło o jej gotowości do zabicia. Gorzej, gdy kolor był czerwony, wskazane byłoby podchować ją jeszcze i to nie na sieczce, ale na mące i ziemniakach. Szlachtowanie mogło być też przesunięte ze względu na występującą u loszek huczkę, twierdzono bowiem, że mięso będzie nadmierne przekrwione i niesmaczne.

Z chlewa wyprowadzała świnie gospodyni, jako ta, która ją cały czas karmiła. Na głos „gudziu, gudziu, gudziu” i z owsem w miarce, świnia ochotczo wychodziła. Był to taki ostatni kęs. Rzeźnik najczęściej ogłuszał świnie obuchem siekiery i podkuwał nożem. Gospodarz z pomocnikiem pętał jej nogi, aby po odzyskaniu przytomności ograniczyć jej ruchy mogące uniemożliwić złapanie odpowiedniej ilości krwi. Nikły wypływ krwi, spowodowany najczęściej wadliwym podkuciem, tłumaczono zbyt silnym ogłuszeniem, powodującym (tzw. zachłisnięcie) i wstrzymanie pracy serca. Niektórzy rzeźnicy nie preferowali więc ogłuszania, stosując za to kolek do pyska lub zasmyknięcie za ryj. Krew łapana była najpierw do mniejszego, potem przelewana do większego naczynia, aby w przypadku jej rozchlapania nie stracić wszystkiej. Miejsce podkucia zatykano szmacianym wiechciem, a martwą już świnie umieszczano w drewnianym dhubanym korycie. Koryto pozwalało zaoszczędzić wrzątek, którym sparzano, aby zeszkrobać szczec (okrywą włosową) wraz z naskórkiem. Miało też wadę, gdyż zbierająca się gorąca woda powodowała zaparzenie się skóry i zamiast ułatwiać, utrudniała skrobanie powodując liczne zacięcia. Inaczej, gdy zamierzano wykorzystać skórę, wtedy należało słabiej lub w ogóle nie oparzać, a skrobać (praktycznie golić) koniecznie z włosom, żeby skóry nie pozacinać. Zeszkrobowana szczecina nie była bynajmniej odpadem, służyła między innymi jako wypełniacz podkładów chomątowych.



Następnie należało świnie przygotować do rozbiórki. W tym celu zawieszano ją za tylne nogi u kuchennego tragarza. Do dziś w kuchniach wielu domów można zobaczyć dwa gwoździe bronne, wbite naprzeciw siebie w tragarz.



Gwoździe bronne w tragarzu

Proces podwieszania był dość skomplikowany. Przez dziurę wykonaną nożem w okolicy stawu skokowego należało przepchnąć drewniany kolek, a między nogami wstawić dodatkową rozpinkę zabezpieczającą przed schodzeniem się nóg. W pętlę łańcucha lub sznura zaczepionego do każdego z gwoździ tragarza wkładało się jeszcze dodatkowe kołki, a okręcanie ich wokół kołka głównego powodowało skracanie łańcuchów i podnoszenie tuszy. Teraz należało oczyścić tuszę zewnętrznym opaleniem i umycie. Rozbiórkę zaczynało od wycięcia podgardla i odcięcia łba, potem rozcinano od góry brzuch, aby wyciągnąć na stolnicę wnętrzności i wyrwać podroby. Następnie należało podzielić tuszę na połowy (połcie), oddzielając jednocześnie część kręgosłupową zwaną krzeptem. W przypadku uboju na spółkę z sąsiadem, dochodziło w tym czasie do sporów między gospodyniami o to, która polcia czyja. Powszechnie bowiem uważano, że świnia częściej

leży na jednym z boków i ten właśnie bok ma grubszą słoninę. Zwyczajowo odcinano od krzeptu fragment słoniny wraz z ogonem i zawieszano na jabłoni przed oknami dla sikorek, które potem z zaciekawieniem dzieci oglądały. W tym momencie można już było ocenić wartość zabitego właśnie świniaka, a mianowicie najważniejszy ówczesnie parametr, jakim była grubość słoniny. Nasza była, na trzy palce! Nasza maciora miała na cztery palce! Nasz kiernoz (knur) na pięć palców! Przechwalały się gospodynie.

Odpowiednio umyty i przygotowany żołądek (maciek), pęcherz moczowy (pecherk) i najgrubszy fragment jelita grubego (dorotka) napelniano pokrojonymi i odpowiednio przyprawionymi, gotowanymi kawałkami głowizny i podrobów, które po zaszcyciu, zagotowaniu i sprasowaniu stanowiły salceson. Nadchodziła też pora zjedzenia pierwszych smakolyków. Dla rzeźnika i gospodarza był to mózdzek z jajkiem, a dla dzieci posolona nerka. Jeszcze przed zabijaniem oglądając świnię komentowano wielkość uszu, jako składnika salcesonu. Świnie z małymi stojącymi uszami zwano pogardliwie „anglikami” i miały one ogólnie niższą renomę od tych ze zwisającymi uszami. Nie dość, że dawały mniej salcesonu to przypisywano im ponadto większą ruchliwość i predyspozycję do „wywalania dyli” (budowana z belek podłoga chlewa). Nie lubiły ich także gospodynie, bo nie można o nich było powiedzieć, że *„pieknie wszcząso i żre, ino jej się usiska trzęsą”*. Czasami pozostawiano pęcherz, który po wyprawieniu używany był jako „kapciuch” na tytoń (bakon) lub sakiewka na pieniądze.

Pocięte jelita grube, po długotrwałym myciu lub wycieraniu śniegiem napelniano mieszaniną ugotowanej kaszy, mielonej krwi i skórek. Do tego dodawano rosół i przypraw, uzyskując w ten sposób kaszanke. Kaszanka nie była zaszywana, ale po nadzianiu zaszytłowana kołeczkiem (tzw. na obrąbek). Ze względu na swój skład kaszanka szybko w cieple kwaśniała, ponadto przy odpowiednio dużej ilości złapanej krwi, można było zrobić jej dość znaczną ilość, stąd była głównym składnikiem wymiany międzysąsiedzkiej.

Zmielone i przyprawione solą, pieprzem i czosnkiem, oddzielone od kości mięso, stanowiło nadzienie kielbasy. Napelniano nim, wcześniej wyszlamowanie i podzielone na pęta, jelito cienkie, którego wytrzymałość



zależała podobno od ilości zjedzonej przez świnię sieczki. Zanim do powszechnego użytku weszły ślimakowe, napędzane ręcznie maszynki do mielenia mięsa rozdrabniania dokonywano wstępnie nożem, krojąc we wzdłużne paski, następnie rąbano siekierą na dębowym pniaku. Nadziewano natomiast za pomocą „strempla”, będącego czymś w rodzaju tłoczyska. Kielbasa, dzięki procesowi wędzenia była produktem dość trwałym, szczególnie, że wtedy wykonywana była prawie z najwyższego gatunku mięsa. Mogła długo wisieć na boncie (element więźby dachowej) pokrywając się białym nalotem. Innym sposobem jej przechowywania na dłużej było zlewanie, spiralnie ułożonej kielbasy w kamiennym garnku, gorącym smalcem. Taki produkt stanowił cenny przysmak żniwny, dający energię z tłuszczowej omasty, jak i radość z odnalezionego pośród smalcu kawałka smakowitej kielbasy. Wędzenie było obowiązkiem gospodarza, rzeźnik w tym czasie kierował dalszymi pracami. Do wędzenia stosowano głównie drewno z drzew owocowych lub olchowe czy brzozowe. Koniecznie bez kory, bo powodowała gorzkość od zawartych w niej garbników. Czasami dorzucano na koniec kilka gałązek jałowca.

Z przerośniętych mięsem boków wycinano kilka pasków, które po zamarynowaniu wędzono na boczek. Najczęściej niewiele tego było, bo ówczesne świny były raczej wysokotłuszczowe i takie też były oczekiwania ludzi. Dochodzimy wreszcie do najważniejszego, czyli słoniny. Swą cenność zawdzięczała wysokiej energetyczności i możliwości długiego przechowywania po naslonieniu. W tamtych czasach symbolem zdrowia były osoby grube. Tzw. „wyżarty chłop” – umięśniony i z lekkim brzuchem, całym sobą udowadniał dostatek rodziny. Tak zwane skwarki były codzienną omastą do ziemniaków, kasz czy klusek. Była spożywana na surowo, jak i smażono na niej jajecznicę.

Gdy już Kopernik na wieś nastał, parobek z gospodarzem jedli kasze z jednej miski, którą gospodyni omaściła skwarkami od strony gospodarza. Parobek zastosował fortel, zadając nieśmiało gospodarzowi pytanie. Czy wie jak się świat obraca? Ano nie bardzo! Odpowiedział gospodarz. Wtedy parobek obrócił miskę skwarkami pod siebie. Tak to gospodarzowi do rozumu przemówił.

(Opowieść ludowa)

W tym samym korycie, które rano służyło do oparzania lub fasce (rodzaj beczki), późnym wieczorem, układano polcie ponacinanej w poprzeczne śruty słoniny. Intensywnie nasolona leżakowała kilkanaście dni, aż do tzw. naslonienia. Krzept, żeberka, kości, nogi i rapety czekały aż znajdą się w kapuście.

Rzadko wykonywano pasztet. O wiele częściej tzw. sadło, cenione jako kolejny tłusty smakolyk. Nad całym tym procesem czuwał rzeźnik. Zarządzał, co i gdzie ma być dodane, smakował jakoś przyprawienia. Zjadł na obiad ziemniaki z rosółem z krzeptu, zakosztował uwędzonej kielbasy, pochwalił jej smak, wypił kieliszek gorzałki, a spakowawszy wyczyszczone mu przez dzieci narzędzia, szykował się do powrotnej drogi. Zapłatę w postaci pieniężnej wraz z kielbasą, nogą i kaszanką brał pod pazuchę. Było już najczęściej bardzo późno a zaspiane, umęczone bardzo zajmującym dniem dzieci, martwiły się o niego, pytając matki czy nie będzie się po drodze bał duchów i strachów.

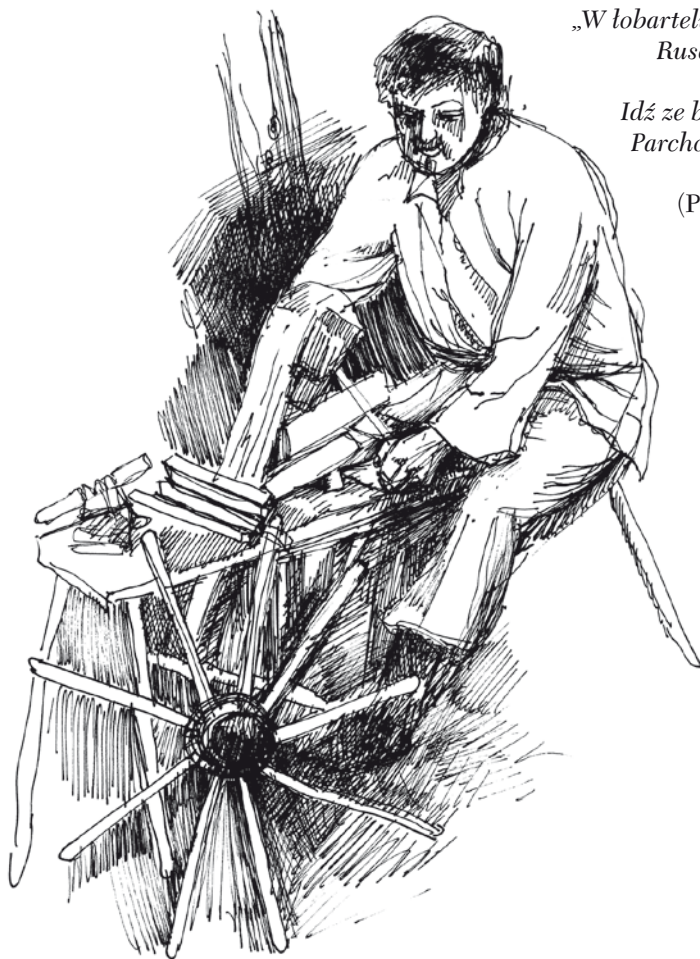


Kołodziej (stelmach)

„W łobartelu wielko dziura,
Ruso mi się kłonica.

Idź ze babo do sąsiada,
Parcho mi się samica.”

(Piosenka ludowa)



Ta przyśpiewka, znajdująca się w repertuarach wielu zespołów ludowych, a zawierająca nazwy podzespólów wozu, dla coraz większej liczby mieszkańców wsi stała się już całkowicie niezrozumiała. Czas kołodziei bezpowrotnie minął. Jeszcze pół wieku temu byli potrzebni. Taksówki wyparły z miast dorożki, ale na wsiach wozy żelaznioki jeszcze turkotały. Długo opierały się przed tzw. „gumiokami”, ba nawet gospodarze wzajemnie obrzdzali sobie gumioki, jakoby ciągle strach w sercu siejące. A, że nie wiadomo kiedy luft (powietrze) z nich zejdzie, a zanim, jaki klucz od kowala pożyczysz, to snopki na wylot przeleje. Były jeszcze jakiś czas przejściówki składające się z żelaznego i gumowego półwozia, ale i te zniknęły. Zmienił się też sposób hamowania, bo pojawił się problem braku szprych. Była wersja przejściowa – zapinanie za szprychy żelazniaka zastąpione było dziurami w felgach gumiaka lub tzw. „sukami”, podsuwanymi pod koło a zapiętymi z przodu na łańcuchu.

Nastaly wreszcie bębnowe i tzw. zapadki tylne, które pozwalały na odpoczynek koniom i chłopu w połowie górkę, bez potrzeby podtrzymywania wozu za kłonicę, szprychy lub podkładania kamieni. Niestety, owe zapadki często doprowadzały do wyłamywania drewnianych śnic, pierwotnie na takie obciążenia odwrotne nie przystosowanych.

Kołodziej, oprócz przysłowiowego koła do wozu wy-



*Łobartel z kłonicami,
sworzniem
i przewleczką*

Narzędzia kołodziejskie i fragmenty kola

konywał całe wozy, sanki, bryczki, kolca, wasążki czy nawet taczki, biedy i grążle do plugów. Różniły się one zdobnościami, zastosowanymi materiałami, jak i jakością wykonania. Te wykonywane na wyjazdy paradne (najczęściej do kościoła) były podobnie jak teraz samochody - przedmiotem dumy poszczególnych gospodarzy.

Budowa wozu i stosowane materiały

Technologia budowy wozów przez wieki niewiele się zmieniała. Skrętne przednie półwozie, połączone ze sztywnym tylnym rozwarą, o którą opierała się poddyna zabezpieczająca dyszel przed opadaniem. Na podobnej zasadzie zbudowane były zimowe sanie (skrętna gnotka i dowieszane do nich płozy (lgi lub włóki), służące do przewozu drzewa czy zimowego wywożenia gnoju. Przygotowanie materiału na wóz zaczynało się już w lesie. Na śnicie, podkulki czy rozwarę trzeba było wybrać drewno nie tylko o odpowiedniej grubości, ale i odpowiedniej krzywiźnie. Przeważnie było to drewno brzozone, dość wytrzymałe i odporne na gnicie a przy tym lżejsze od buka czy dębu. Przywiezione do domu nie było korowane, ale jedynie nacinane siekierą, aby się nie zaparzyło i powoli wysychało. W przypadku śnic tylnych należało je dodatkowo spiąć mniej więcej w 1/3 długości i krótszą część po rozłupaniu dodatkowo stopniowo rozklinowywać aż do uzyskania charakterystycznego rozwidlenia. Tak przygotowany materiał oparty lub zawieszony na nienasłonecznionej ścianie był zapasem lub częścią nowego wozu. Połupane kawałki dębu lub jesionu, przeznaczone na szprychy i powiązane w naręcza, leżały gdzieś na piętrach lub wypustach stodoły, czekając tak nawet kilka lat. Tak samo sezonowały się odziomkowe kawałki jabłoni czy brzozy przeznaczone na głowy kół (środkowa część koła, w której porusza się oś i zakotwione są szprychy). Odziomkowa część gwarantowała odporność na rozrywanie, poprzez swoją zwężłość, połączoną nierzadko ze skrętem włókien. Dzwona (zewewnętrzne półkoliste kawałki drewna, do których mocowało się szprychy, a potem nabijało żelazną rafę) wykonywano z deski brzozowej wyrzynając z miejsc o odpowiednim kierunku włókien. Szczególną wytrzymałość wykazywały koła, w których dzwona wykonane były





z samorodków korzeni, gałęzi lub przelupów pni o odpowiadającym łukowi koła kształcie. Było to jednak zbyt czasochłonne, stąd rzadko stosowane. Elementy nadbudowy (paczki, nadwozia) wykonywane była z drewna lekkiego przeważnie lipowego, wierzbowego lub topolowego. Gatunki te charakteryzowały się wystarczającą wytrzymałością a ponadto wysoką odpornością na gnicie. Mówiono, że lipa „zamesy się” po wierzchu, ale nie zgnije, choćby latami paka na polu stała. Wszystkie te materiały powinny schnąć wolno, aby nie spękały.



*Koło z widoczną drewnianą
osią zabezpieczoną kolkiem*

Początkowo drewniana oś, z biegiem lat zastąpiona została żelazną, zmniejszenie tarcia, polegające jedynie na smarowaniu trących się powierzchni, uzupełnione zostało o żeliwne, wymienne bukso (rodzaj łożyska ślizgowego). Wszystkie powierzchnie trące smarowane były dziegciami i smolami kupowanymi na jarmarkach lub od obwoźnych maziarzy i smolarzy. Przy ich braku stosowano tłuszcze zwierzęce, które jednak w gorące dni łatwo się wytapiały. Często, na skutek braku odpowiedniego smarowania, wóz czy taczki podczas ruchu niemilosiernie piszczały. Od tego pochodzi też znane powiedzenie „Bieda aż piszczy”. Drewniane (przeważnie dębowe) osie zachowały się jedynie u kolec, ponieważ występowały tam niewielkie obciążenia pionowe. Koła kolec były bardzo lekkie, a zamiast silnej rafy obite były jedynie bednarską obrączką, czasami bezpośrednio na szprychach przymocowywana była obręcz z łyka lub młodego drzewka. Najczęściej był to długi jarząbek lub leszczyna - zaparzony wcześniej w piecu i owinięty wokół pnia wierzy - dla nabrania odpowiedniego kształtu. Koła kolec narażone były na stosunkowo mniejsze obciążenia, stąd mogły być lżejszej konstrukcji i najczęściej wykonane były w sposób prosty lub nieznacznie sowisty.

Koło do wozu było bardziej sowiste (poprzeczny układ szprych względem głowy i dzwon był lekko ukośny), przez co sprawiało wrażenie jakby było wydęte. Taki układ poszerzał nieco wóz nadając mu większą stabilność, a w przypadku jazdy wzdłuż pochyłości lub przy wyjeździe na „międzuskę”, zabezpieczał przed wyłamaniem szprych. Dopiero znaczna pochyłość powodowała, w przypadku koła będącego z dołu pochyłości, pionowe ustawienie szprych względem gruntu. Koło, zrobione w sposób jednopłaszczyznowy, byłoby przy takim ustawieniu wielokrotnie bardziej narażone. Duże tylne koła bryczek czy siewników, z uwagi na znaczną średnicę, bywały wykonywane w technice podobnej do układu szprych koła od roweru. Oś również nie była prosta, musiała być zadana końcami lekko w przód i w dół, przez co podczas jazdy w przód, koła cały czas miały tendencje do schodzenia się. Zabezpieczało to przed odkręceniem nakrętek osi i gwarantowało pełne przyleganie powierzchni trących. Przyszły wóz musiał być wytrzymały, ale w miarę lekki, stąd starzy mistrzo-



wie nie znając obliczeń wytrzymałościowych, doskonale dobierali układ i grubości poszczególnych elementów, w zależności od przewidywanych w danym miejscu obciążeń. Miejsca najbardziej obciążone były wykonane z metalu lub dodatkowo nim okute. Te wszystkie arkana wiedzy musiał posiadać zarówno kolodziej, jak i kowal, aby ich produkt mógł długo służyć.

Sposób wykonania koła

Po nastaniu żelaznych osi, koło stało się najbardziej narażonym na uszkodzenia elementem, wzrósł nieco tonaż, stąd jego wykonanie było dużą

sztuką. Kolodziej zaczynał od wytoczenia głowy, w której wykonywał dłutem prostokątne otwory na szprychy, odpowiednio je wcześniej rozmiarzając. Toczenie odbywało się ręcznie, przy pomocy drewnianej tokarni napędzanej nogą (podobnie do napędu maszyny do szycia). Napęd taki powodował obrót toczonego elementu w jednym kierunku. Istniały też tokarnie, w których przekazanie momentu obrotowego odbywało się za pomocą wielokrotnie zawiniętego na osi sznurka napędzanego nożnie lub ręcznie. Ruch powrotny zapewniała sprężynująca listwa, do której przymocowany był koniec sznurka. Szprychy wykonywane były na dziadzie (zwany również dziadkiem ze względu na wykonywane czasami rzeźbienia na podtrzymującej szprychę głowie). Było to urządzenie podtrzymujące podłużnie strugane ośnikiem elementy (element włożony pod brodę dociskany był nogami poprzez mimośrodkową nogę, przez co pozostawiał swobodę dla rąk). Dziad kolodziejski różnił się od dziada bednarskiego dodatkowymi otworami na

*Głowa dziada
kolodziejskiego
z widocznymi
dwoma
szyftami
na czole*

mimośrodowej nodze i zacięciem ze sztyftami na czole umożliwiającymi dodatkowy sposób mocowania.

Przed wbijaniem szprych, należało głowę wstępnie okuć przy pomocy obrączek zwanych „brzostynkami”. Wszystkie pasowania musiały być wykonane na wcisk i dobijane prawie do granic wytrzymałości na rozrywanie, inaczej koło po rozeschnięciu zaczęło klekotać, zmniejszając znacznie swoją wytrzymałość. Nabicie dzwon również nie było czynnością automatyczną. Wykonane w nich otwory musiały odzwierciedlać stan po nabiciu, dlatego nie dało się ich bezpośrednio przyłożyć na szprychy i odrysować. Wbijane w dane dzwono szprychy trzeba było nieco ścisnąć, aby po przejściu końców przez dzwono wróciły do poprzedniego stanu. Przed zaklinowaniu szprych w dzwonach należało je silnie dobić – granicą dobijania było tzw. „stękanie” drewna, którego przekroczenie mogło kończyć się trwałym uszkodzeniem. Z kolei dzwona między sobą były kolkowane, więc nabijane musiały być

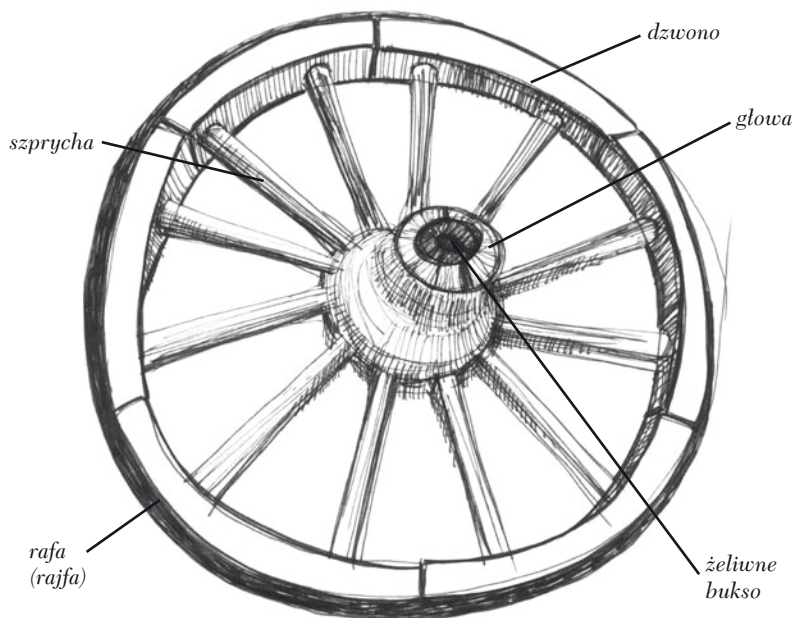
Od lewej: sponga do naciągania rajf, kobylica, dziad kołodziejski z oryginalną rzeźbioną głową, dziad bednarski





kolejno. Jedynie ostatnie dwa dzwona nie dały się połączyć kołkiem, co zastępowano wbijaniem metalowego sztyftu lub bocznych laszy (fragment płaskiego podłużnego metalu). Do tej czynności służyła kobylica (jakby ława z dwoma drewnianymi hakami na środku), które po włożeniu koła usztywniano za pomocą klinów, na niej również dokonywano dopasowań, przycinając poszczególne elementy siekierą, dłutem czy specjalnie ukształtowanym heblem.

Otwór na oś z buksem odwiercano początkowo cienkim, następnie coraz grubszym świdrem. Po przekroczeniu pewnej średnicy należało zastosować tzw. „łyżnie” stanowiącą łopatkowatą, szeroką odmianę świdra. Z poklinowanego i ostatecznie ostruganego koła, należało zdjąć wstępne okuwki i przystąpić do ostatecznego okucia. Robił to najczęściej kowal, ale wielu kołodziei też tę czynność wykonywało, o ile posiadali odpowiednich rozmiarów obrączki i rafę. Obręcz należało rozgrzać, dzięki czemu nieco zwiększyła swoją średnicę, przyłożyć odpowiednią stroną na koło, zaczepić w kilku miejscach specjalnymi spągami lub kołkiem włożonym w podkowę zaczepioną hacelami o rafę. Tak naciągnięta rafa, pobijana dodatkowo poprzez drewno, po znalezieniu się na swoim miejscu była pozostawiona do ostygnięcia. Teraz należało wbić dwa sztyfty i można było koło zakładać. Przy naciąganiu rafa należało pamiętać o jeszcze jednym bardzo ważnym szczególe, otóż dzwona musiały być bardzo mocno dobite, ale nie mogły jednocześnie ciasno do siebie przylegać. Stygnąca rafa zmniejszając swój obwód musiała spowodować docisk szprych zakotwionych w głowie i dwonach. Gdyby dzwona były idealnie dopasowane, bez tzw. ustępów (2-3 przerwy pomiędzy dzwonami o szerokości 3-4 milimetrów), siły rozłożyłyby się obwodowo, a nie prostopadle, powodując zmniejszenie wytrzymałości całego koła. Idealnie było, jeżeli stygnąca rafa zarówno docisnęła szprychy, jak i spowodowała prawie całkowity zanik ustępów. Jeżeli koło zbyt się rozeszło, należało wjechać nim na gnojowisko w miejscu najbardziej wilgotnym. Gnojówka nie tylko spowodowała jego spęcznienie, ale również przypisywano jej właściwości zabezpieczające przed gniciem.



Najczęściej kołodziej nie dysponował oddzielnym pomieszczeniem (warsztatem), swoją robotę wykonywał w kuchni, albowiem było to jedyne w miarę ciepłe miejsce w okresie zimowym, a drobne odpadki, wióra i trzaski służyły do rozpalania w piecu. Wraz ze zmierzchem kołodziejstwa w niepamięć odeszły dawne nazwy poszczególnych elementów wozu jak: łobartel, kłonica, śnice, poddyna, rozwora, sforówka, podkulek, dynol, luśnia, strabanty i inne. Wóz miał wszechstronne zastosowanie, wyjmowane kłonice przednie umożliwiały wtaczanie na niego dużych drzew, paczka pozwalała przewozić ziemniaki, osłony służyły do wywożenia gnoju, lytry do przewozu siana i snopków. Po założeniu ozdobnego wasążka albo wiklinowych półkoszków, można było jechać do kościoła czy na jarmark.

Kowal

Jeden z olpińskich kowali, mieszkający przy ruchliwej drodze dojazdowej do lasu, od czasu do czasu, z nudów to, czy złościwości wrodzonej, podrzucał na drogę rozgrzany łańcuch. Przejeżdżający do lasu chłopci łapali tę cenną zdobycz, jakoby przez innego do lasu jadącego zgubioną, parząc sobie przy tym ręce niemilosierdzie. Na to wychodził kowal, z przyklejonym na wardze cygarem, podglądający dotąd całą scenę przez sculbanę (szczelina między belkami pozbawiona meszenia).

„A widzisz, widzisz, nie rusej, nie rusej, co kłowlowe!” Pouczał mentorsko.



Po księdzu, organiście i młynarzu to była czwarta postać we wsi. Oczywiście w dużych wsiach, jakie były w naszym regionie kowali musiało być co najmniej kilku. Była to profesja dość skomplikowana, wymagająca posiadania wielu narzędzi, sporej siły i umiejętności. Uścisk przez kowalową pravicę odczuwał każdy.

Kuźnia miała wysunięty dach, pozwalający na wprowadzenie pod niego konia w deszczowy lub nadmiernie słoneczny dzień. W środku, oprócz wielu drobniejszych narzędzi, musiało znaleźć się kowadło na drewnianym pniaku, palenisko z kapą i miech. Przed kuźnią najczęściej stał brus z wielkim kamiennym kołem, zamaczanym od dołu w drewnianym korytku z wodą. Wodę należało wlewać bezpośrednio przed ostrzeniem, żeby kamień miejscowo nie rozmażał. Obracany korbą kamień poprzez drewnianą kwadratową oś pozwalał na ostrzenie motyk, siekier i innych narzędzi. Woda zapobiegała zagładzaniu się kamienia. Ostrzenie, nawet przy dość gruboziarnistym kamieniu, odbywało się bardzo wolno, dlatego duże znaczenie miało staranne „wyciągnięcie” ostrza siekiery czy lemiesza przez kowala. Nie powodowało jednak ponownego rozhartowania metalu czy nawet przypalania, jak ma to miejsce przy mechanicznych szlifierkach.

Kowal wykonywał wszystkie narzędzia - jak siekiery, motyki, sierpy, łopaty, zamki, zawiasy, okuwał sanie i wozy, podkuwał i strugał konie a i nierzadko był dentystą. Nie plombował, jedynie wyrywał. Najczęściej miał pomocników uczących się fachu. Długo jednak musieli miechować, zanim cokolwiek fachowego zobaczyli. Poszczególni kowale stosowali właściwe dla siebie zdobnictwo, będące czymś w rodzaju znaku towarowego, taki charakter miały np. zakończenia zawias czy ryfki zdobiące dyszel. Jedni robili lepsze siekiery, inni lepiej kuli konie, jeszcze inni niezrównanie dobierali układ lemiesza (blachy) i odkładnicy u pługa, przez co orka stawała się znacznie lżejsza, a pługa prawie nie trzeba było trzymać. Mówiono: „*som lorze*”. Istniała nawet teoria, że idealny kształt pługa czy puzka do obsypywania ziemniaków jest taki, jaki kształt przybiera oblepiająca się na nim podczas pracy ziemia. Wyroby kowalskie były drogie, czemu trudno się dziwić znając ówczesne realia, a szczególnie chroniczny brak wszelkiego rodzaju metali.





Na mosiężną klamkę stać było mało kogo - młotek, kosa, nawet sierp już były cennymi narzędziami. Mało było też materiałów wyjściowych tzw. surówek. Tak zwana podkowiarka i bednarka stanowiła materiał na większość narzędzi. Resztki resorów od bryczek stanowiły cenny materiał na kowalskie narzędzia. Wprawny kowal bez problemu określał jakość stali, po wydawanym przez nią dźwięku, rzucając na kamienną posadzkę lub uderzając o kowadło. Dokładnie przyglądając się niektórym starym rzeczom kowalskim zobaczymy, że nawet te wyglądające na lite, wykonywane były poprzez skręcenia i zakucia materiału znacznie cieńszego. Dopiero przekornie I wojna światowa zwiększyła dostępność wszelkiego rodzaju żelastwa.

Pozbawione ładunku kule armatnie stały się materiałem wyjściowym dla bardzo wielu produktów. Niestety, dla wielu „saperów” źle to się skończyło. Nie wyobrażamy sobie obecnie łączenia dwóch kawałków stali bez spawania, kiedyś trzeba było dwa materiały nagrzać prawie do białości, nałożyć na siebie i bardzo mocno uderzyć. Jako topniki używano glinę krzemionko-



wą, sproszkowane szkło, proch z kulek czy wreszcie boraks. Tak powstawała obręcz na koło, obrąbek do kosi i wiele innych zamkniętych profili. Obręcz musiała mieć odpowiednią wytrzymałość, ponadto z jednej strony być nieco szersza, aby ułatwić jej nabijanie. Innym sposobem łączenia było nitowanie czy zakładkowe zakuwanie. Wykonanie otworów też było dużą trudnością. Wystarczy zaobserwować otwory w starych zawiasach, które są najczęściej zbliżone do kwadratu, gdyż były na gorąco wybijane kwadratowym przebijakiem. Wykonanie ich okrągłym przebijakiem wiązało się z większym oporem. Wiertarkę (blórmaszynę), a później pasową tokarnię do metalu miał, nawet w późniejszych czasach, rzadko który kowal.

Wiadomo, materiały różniły się jakością stali, na siekierę czy motykę nie wystarczyła zwykła blacha, bo nawet najlepsza obróbka cieplna nie była w stanie nadać jej odpowiedniej jakości. Oczekiwane właściwości metalu uzyskiwane były przez odpowiednią obróbkę cieplną (hartowanie i odpuszczanie czy wielokrotne przekuwanie). Poza kolorem metalu po zapilowaniu, nacięciu przecinakiem (majzlem) czy punktakiem nie było żadnej metody do oceny twardości. Każdy kowal wypracowywał sobie z czasem, swoją metodykę dochodzenia do odpowiednich właściwości metalu. Za słabo zahartowana siekiera przy krzesaniu bardzo twardych jodłowych gałęzi powyginała się, z kolei przehartowana zaraz się wyszczerbiła. Oznaką optymalnego zahartowania był żółtawy kolor. Materiał zahartowany na siwo-biały kolor był już bardzo kruchy. Podczas kucia siekiera była kilkakrotnie nagrzewana, intensywniej tą stroną, która miała być kuta. Nagrzanie „do białości”, jak w przypadku zgrzewania całej siekiery nie dość, że nadmiernie zmieniłoby jej właściwości mechaniczne to mogłoby doprowadzić do odpadnięcia części kutego przedmiotu na skutek „upalenia”. Hartowanie też miało wiele oblicz. O stopniu rozgrzania, czasie zanurzenia przedmiotu w wodzie, oleju lub ziemi, kowal decydował w zależności od oczekiwanej twardości, nabywając tę wiedzę latami. Do bardzo precyzyjnych czynności należało nacinanie poprzeczne sierpa. Niezwykła powtarzalność tych nacięć wręcz poddaje w wątpliwość, że czynność ta była wykonywana ręcznie przez kowala wraz z pomocnikiem. Pomocnik też długo musiał ćwiczyć miarowość uderzania.





Duże powierzchnie do wyklepania, aby zaoszczędzić na sile i nagrzewaniu, kuto na dwa młotki. Do trudnych należało np. spęczenie wytartej jednostronnie osi od wozu. Poza nadaniem odpowiedniego stożkowego kształtu, oś musiała zachować odpowiednie właściwości mechaniczne – twardość, a zarazem sprężystość, aby przy nagłym podskoku obciążonego wozu nie uleciała (poprzecznie pękła). Połączenia gwintowe były początkowo mało



Od lewej: drewniana kózka na oselkę, zużyty oprawiony sierp, brzeszczot sierpa z wyraźnym siekaniem



*Stary i nowy typ
gwoździ do bron*

stosowane ze względu na trudności wykonania, dopiero pojawienie się gwintowników i narzynek znacznie zwiększyło ich powszechność. Wykonywany przez kowala gwoździe do bron był początkowo prosty i nacinany w części gniazdowej, co umożliwiała jego stabilne osadzenie w drewnianych ramach bron. Pojawienie się żelaznych pabronków z kwadratowymi otworami, pozwoliło na stosowanie gwoździ zakrzywionych do przodu i mocowanych dodatkowo połączeniem gwintowym. Pozwalało to na lepsze zagłębianie bron w glebę. Taki gwoździe zastosowany przy drewnianych bronach, na skutek większych obciążeń, z czasem obróciłby się do tyłu, wygniatając gniazdo.

Codzienna praca koni, jak i potrzeba zwiększenia ich siły uciążu, zmuszała do zabezpieczenia kopyt przed nadmiernym starciem poprzez regularne podkuwanie. Kucie koni znacznie się różniło w zależności od pory roku. Zimowe podkowki miały dodatkowo jeden przedni i dwa tylne kopcie (nadkłady twardego metalu) lub wkręcane większe hacele.



Po przygotowaniu puszki kopytowej dopasowywano podkowę na zimno lub na gorąco. Niezbyt intensywnie rozgrzaną podkowę przykładano do kopyta, co pozwalało na jej dokładniejsze dopasowanie. Jednak ciągle stosowanie tego sposobu doprowadzało do zbytniego przesuszenia kopyta i jego nadmiernej łamliwości. Kowal wykonywał podkowę w zależności od rozmiaru kopyta na bieżąco. Materiałem wyjściowym był płaskownik zwany podkowiarką. Należało jej nadać odpowiednią wielkość i kształt, wykonać rowek i otwory na gwoździe (ufnole), nagwintować na hacele lub zawinąć kopcie. Podkowy z biegiem czasu ścierały się, kopyto przerastało i - o ile koń wcześniej podkowy gdzieś na bagnach nie zgubił należało konia powtórnie przekuć. Znaleziona w polu lub w lesie używana podkova, była symbolem szczęścia. Kowal był też swego rodzaju weterynarzem, szczególnie, co do chorób kopyt, a często stosowanym sposobem leczenia było przypalanie zmienionych chorobowo miejsc. Dentystą był głównie dlatego, że posiadał różnej wielkości kleszcze, lekarzem, bo mógł wypalić rozgrzanym żelazem zmienione chorobowo miejsca, jak np. miejsca ukąszenia przez chore na wściekliznę zwierzę.

Kowalstwo było wręcz sztuką, a przynajmniej wysokiej jakości rzemiosłem. Przepiękne świeczniki, okucia drzwi, bram czy krat w kościołach nierzadko były dziełem wiejskich kowali. Kowale doskonale czuli rozkład obciążeń. Przykładem tego może być zwykły zawias do drzwi, z silnym uchem zakładanym na bolec futryny i stopniowo coraz węższym kształtem i cieńszym profilem. Konieczne również z jakimś ozdobnym zakończeniem. Proporcjonalnie dobrane też były do wielkości i ciężaru drzwi. Dopiero seryjna produkcja czasów powojennych cały ten wieloletni dorobek, łączący zarówno oszczędność surowców, jak i elegancję wykonania zaburzyła. Jednorodne na całą długości zawiasy doprowadzały kowali do odwracania wzroku, z uczuciem wyraźnego niesmaku od tak wykonanej roboty.

Kowale, jak i inne zawody np. stolarze, proporcje brali z obserwacji przyrody, którą, jak wiemy cechuje wybitna oszczędność materii w stosunku do koniecznych obciążeń. Obserwacja układu pnia drzewa, wygięcia i rozłożenia gałęzi, w zależności od położenia czy lokalnych warunków, pozwalały na przeniesienie tego na własne wyroby. Pomimo biedy, braku czasu i wielu

innych negatywnych czynników dawne wyroby od ganka począwszy, a na kościele skończywszy, charakteryzowały się dużą harmonią, dobrze wpisaną w otaczający krajobraz.

Ozdobne zakończenia zawiasów



Garbarz, rymarz

Dworskie woły na głos południowych dzwonów nawet z furą snopków do stawu wlażyły!

(Geneza przysłowia „Uparty jak wół”). Dzwonienie bowiem, oznaczało dla nich porę południowego pojenia.



Surowiec na większość wykonywanych dawniej rzeczy rósł w polu, w lesie lub w oborze. Nie było sztucznych wyrobów skóropodobnych, stąd wszystko należało optymalnie wykorzystać. Ze skóry była cała uprzęż konna, buty, futra, kozuchy, czapy (baranice), bębny i wiele innych rzeczy. Skóra skórze nierówna - mówili rymarze. Różniła się w zależności od gatunku zwierzęcia, z jakiego została pozyskana, pory roku, jego wieku, płci a nawet stanu zdrowotnego. Reszta zależała od jakości pozyskania i procesu garbowania czy kręcenia. Jako garbniki stosowano najczęściej korę świerkową i dębową, w której wywarach moczoło skórę, a potem poddawano je obróbce mechanicznej. Skóra zwierząt futerkowych była bardzo cenna i najczęściej była sprzedawana. Bezpośrednio po obieleniu (zdjęciu) skórka naciągana była na drewniane prawidła zwane widełkami, na których się suszyła.

Odpowiednie przygotowanie skóry tak, aby uzyskała miękkość, elastyczność i nie psuła się należało do zadań garbarza. Na dwa, trzy tygodnie skóry zalewane były słabym roztworem wapna. Po tym czasie skóry wyjmowano i poddawano licowaniu. Z tak przygotowanej skóry włos wychodził stosunkowo łatwo. Wystarczyło, po przełożeniu skóry przez okrągły drewniany kolek, przeciągnąć wzdłuż włosa tylną nieostrą stroną ośnika lub kawałkiem kanciąstego drzewca. Następnie należało przystąpić do kolejnego etapu. Rozdrobnioną w sieczkarni korę świerkową zagotowywano we wrzątku i po ostudzeniu, zalewano nią skóry, ułożone w jakimś szczelnym naczyniu typu szerokiego cebrzyka lub beczki. Skóry należało tak układać, aby strony licowe (w przyszłości zewnętrzne) zawinięte były do środka. Zapobiegało to plackowatym ciemniejszym przebarwieniom na styku z kawałkami kory. Skórę uznawano za wyprawioną, jeżeli po nacięciu na całej powierzchni przekroju, wykazywała w miarę jednolitą żółtawą barwę. Garbowanie korą dębową bardziej skórę przyciemniało.

W rymarstwie (wytworzenie uprzęży) największe zastosowanie miała skóra bydlęca. Poszczególne fragmenty skórzanej plachty miały różne zastosowanie. Przygrzbietowe, jednorodne i grube (najgrubsze pozyskiwano ze starych wołów lub byków) fragmenty przeznaczone były na postronki (pasy ciągowie). Fragmenty brzuszne - na chomąta, pachwinowe - na łączniki





i w szewstwie. Wydawałoby się na nic nieprzydatne nierówne fragmenty z kończyn, w miejscach stawów skokowych, używane były na „gacki” do cepów.

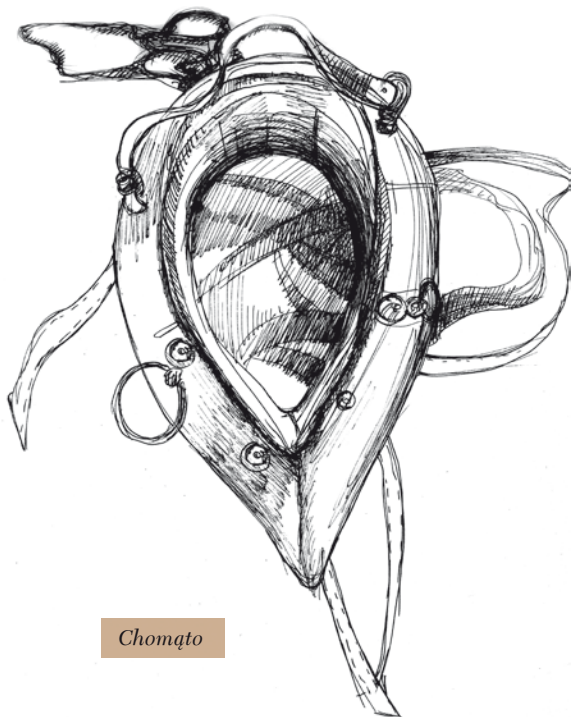
Licowanie (pozbawianie okrywy włosowej) skóry wykonywane było najczęściej za pomocą ośnika. Ze skóry przewieszzonej przez gładki drąg ścinano włos zgodnie z kierunkiem jego naturalnego ułożenia. Cięcie pod włos, zdawałoby się, że szybsze, powodowało jednak liczne zacięcia. Ośnik do tego celu oprócz naostrzenia na brusie i gładką oselką, zaciągany był podobnie jak brzytwa na skórzanym pasie. Dla nadania większej wytrzymałości skóra do celów rymarskich była „kręcona”. Można było kręcić całą skórę, ale najczęściej skóra była przecinana na pół, wzdłuż linii grzbietu. Do kręcenia potrzebnych było co najmniej dwóch, a najlepiej czterech mężczyzn. Skórę zawieszano narożnikiem u bonta (belka więźby dachowej) na środku boiska (błojiska). Drugi koniec przewlekano przez otwór koła od wozu. Całą skórę należało nasmarować łojem, olejem lub jakąkolwiek tłustą substancją. Zakręcić mocno kołem. Mężczyzn ustawić po przeciwnych stronach z dwoma drągami w rękach. Drągi jednostronnie były połączone, stąd tworzyły coś na kształt nożyc obejmujących pośrodku zakręconą skórę. Rozkręcająca się skóra napędzała koło, które pełniło rolę koła zamachowego i obciążnika. Teraz należało się wpasować w dwukierunkowy ruch koła tak, aby podczas rozkręcania zacisnąć drągi na skórze i przesuwając w dół. Ruch koła w drugą stronę, należało wykorzystać na podnoszenie lekko rozwartych drągów w górę i ponownie wraz z rozkręcaniem ciągnąć w dół. Przesuwające się po skórze drągi, zgodnie z kierunkiem kręcenia się skóry, pełniły rolę wcierającą tłuszcz i podtrzymującą ruch obrotowy. Co chwilę spoceni (lok. zeznojeni) z wysiłku mężczyźni musieli zmienić się, żeby odpocząć i zakurzyć cygara. Czynności te należało wykonywać wielokrotnie, aż do uzyskania żądanej miękkości i natłuszczenia. Po takim wysiłku można było nawet zapieć fajkę, żeby porządnie na koniec pokurzyć. Tak przygotowana skóra była dopiero cięta na jednorodne fragmenty.

Proste narzędzia rymarskie podobne były do narzędzi szewskich. Do podstawowych należało szydło (zwykle i z dziurką na dratwę), złożone

z profilowanego do dłoni drewnianego trzonka z zamocowanym w uchwycie stalowym zakrzywionym drutem (stalką) oraz szpilor (špilor) – czyli szydło o prostej stalce i z okutą obręczką drewnianą rączką. O ile szydło używane było do robienia w skórze otworów ręcznie, szpilor można było pobijać młotkiem. Cięcie skóry wykonywano beztrzonkowym nożem zwany „gnypem”. W wykonane szydłem otwory należało przewlec grubą, lnianą, mocną nicią (dratwę). Jeżeli szydło było z dziurką, co się niestety rzadko zdarzało, sprawa była prosta – wystarczyło przewlec powleczoną w wosku, loju lub mydle nicią. Inaczej należało zastosować podwójnie złożony drucik lub szczecinę z chybu (grzbietu) starej maciory. Taki włos grzbietowy, z wiekiem ulegał rozdwojeniu oraz charakteryzował się dużą sztywnością, co pozwalało na przewleczenie nici. W przypadku zszywania rzemieniem (zamiast nici) otwory musiały być odpowiednio większe. Otwory po szydle czy szpilorze, wykonane w skórze, po wyjęciu ostrza samoczynnie powoli zamykały się, dlatego np. w pasach strzemion (puśliskach) czy cholewkach butów, w celu uzyskania trwałych otworów, należało je wyciąć narzędziem podobnym do zaostrzonej rureczki z bocznym wylotem.

Od lewej: szpilory, gnyp, młotek szewski, szydło, raszpla (tarnik)

Skóra, a szczególnie ta najgrubsza, stosowana np. do wyrobu postronków, podczas szycia mocowana była w tzw. piesku rymarskim. Rymarz siedzący na taborecie lub ławie przysiadł jednocześnie wydłużoną część pieska, druga dwuczęściowa kłapa, po włożeniu warstw skóry, skręcana była motylkową śrubą, uwalniając w ten sposób obydwie ręce szycącego. Wielowarstwowość i dodatkowe zszywanie rzemieniem postronków nadawały im większą elastyczność, przez co znacznie zwiększały wytrzymałość. Jeżeli dodatkowo zastosowano ścieg szewski (w przypadku szycia dratwą) mniej



Chomąto

scowe przerwanie rzemienia nie powodowało rozdławiania pozostałej części postronka. Rzemieniami, poprzez wielokrotne przewleczenie, łączone były kleszczyzny chomąta czy mocowanie na stałe postronków z chomątem i napierśnikiem. Później, dla lepszej rozłączności postronków z chomątem, stosowano metalowe klamry (antaby) zaślepiane poprzez otwory podłużną sprężynującą przewleczką. Nie było tak dużej skóry, żeby wykonać w całości lejce, stąd w miarę jednorodną skórę klejono i zszywano na zakładkę dwuniciowym ściegiem szewskim. Zszywana nie mogła być jedynie część krzyżówkowa, żeby nie blokowała się w kółeczkach chomąta. Lejce

musiały być mocne, bo ich urwanie groziło bardzo dużymi konsekwencjami. Dla bezpieczeństwa do zaprzęgu końskiego nie pozwalano też za blisko podchodzić dzieciom, nierzadko groziło to oberwaniem batem od woźnicy.

Tradycyjne chłopskie chomąto składało się z drewnianych, samorodnie krzywych, kleszczy (klostryn) opartych na zawiniętym w smokę najczęściej sianowym wypełnieniu (kiszce). Górne zakończenie przybierało różne kształty i zdobienia. Rozmiar chomąta musiał być dopasowany do wielkości konia, tak aby po założeniu bez problemu można było włożyć rękę między chomąto z podkładem a tchawicę. Bezpieczniejsze dla konia było przyleganie nieco za ciasne niż za luźne. W celu zapobieżenia obtarciom i odpieczeniom skóry chomąto dodatkowo umieszczane było na skórzano – płóciennym, wypełnionym świńską szczeciną, podkładzie. Chomąto końskie wykonywane było w sposób zamknięty, stąd też wyjmowany podkład pozwalał na łatwiejsze jego założenie, co miało znaczenie szczególnie przy koniach o nieproporcjonalnie dużej głowie. Uprząż musiała umożliwiać również hamowanie i zatrzymywanie ciągnionego pojazdu, stąd chomąto połączone było z przodu z dyszlem za pomocą ściągacza (metalowy łańcuch o specyficznych zakończeniach wraz ze skórzaną regulowaną kłódką), z tyłu zaś, przed spadaniem z głowy konia, podtrzymywało podogonie lub natylnik. Podogonie również było wykonywane w technice kiskowej, wypełniane jakimś drobnym materiałem. Musiało charakteryzować się bardzo dobrym dopasowaniem, a zastosowane szwy nie mogły mieć zewnętrznych guzków (pocołków). Inaczej „obtarty” koń panicznie reagował na próby ponownego zaprzęgania. Postronki podtrzymywane były na koniu poprzez nagrzbielnik (oblodrę), od dołu spinane były luźno podpinką. W pracy w polu, na terenie w miarę równym, podpinka była raczej zbędna, za to w lesie przy pokonywaniu znacznych, poprzecznych zagłębień, była wręcz niezbędna. Pierwotnie, połączenie postronka z orczykiem stosowane było na tzw. „zasmyk” poprzez zaciągnięcie grubym rzemieniem. Następnie zaczęto stosować połączenia łańcuskowe. Skracanie odbywało się odpowiednio poprzez wielokrotne zawijanie rzemieni lub zapinanie haczyka na kolejne ogniwa łańcuszka. Haczyk też nie był zakończony prosto, lecz ze znacznym zadaniem końcówki do





środka, co ograniczało możliwość odpięcia się w sytuacji złuzowania napięcia postronków np. przy hamowaniu. Było to bardzo ważne, gdyż w sytuacji skrajnej mogło dojść do tzw. „nabicia konia”. Gdy zewnętrzny postronek pękł lub rozpiął się podczas silnego „zebrania” przez parę koni, został on prawie przerzucony bokiem tak, że stanął na wprost dyszla. Jeżeli przestraszony drugi koń podjął kolejną próbę ciągnięcia, mógł dyszlem przebić towarzysza. Zużyta uprzęż dość często ulegała zerwanom, stąd „porządny” chłop powinien zawsze mieć w kieszeni scyzoryk, gwoźdź i kawałek rzemienia, drutu lub sznurka oraz zawsze dbać o natłuszczenie skór łojem lub innymi smarowidłami. Do honoru gospodarza należało dopinanie do uprzęży mosiężnego dzwoneczka lub janczarów. Przy długich zimowych podróżach miało to jeszcze jedno zadanie – budziło zasypiających na mrozie pasażerów. Dopinane do uzdy i oblodry czerwone pompony (szczympacki), miały natomiast chronić przed urokami.

Inaczej zbudowana była uprzęż na wołu. Podstawową różnicą, ze względu na budowę anatomiczną (rogi, szeroka głowa) było wykonywanie rozpinanych jarzm i chomąt. Jarzma początkowo były wykonywane bardzo prymitywnie, w postaci spinanych kołkami nieco profilowanych drzewców. Jarzma na parę wykonywane były jako całość. Później zaczęto stosować jarzma o budowie podobnej do chomąt końskich, z tą jednak różnicą, że były rozpinane i na stałe połączone z podkładem. Zamiast postronków najczęściej też stosowane były konopne powrozy.

Kowal pachniał dymem, kołodziej czy stolarz mógł pachnieć żywicą, garbarz i rymarz, przez ciągłą pracę z natłuszczonymi skórą, pachniał niestety mniej ciekawie.

Szewe

„Szewc w dziurawych butach chodzi”
(Przysłowie ludowe)



Szewce
z Błorówki, ro-
biący przeważnie
drewnioki, kupili
se u Żyda w Ło-
pinach, cale pu-
dolko „druśtyftów”
(rodzaj małych
gwoździaków). Po-
łożyli na taborku w
sopie, gdzie koło
blutów robili.
Do sopy włoż
baron i cale
to pudolko zjod,
a ze chło-
py to były
z m y ś l n e ,
łód razu mu
mały magnes
na snurku do żółdka pu-
ścili i druśtyfty wyciongli.

(Bajduła ludowa)

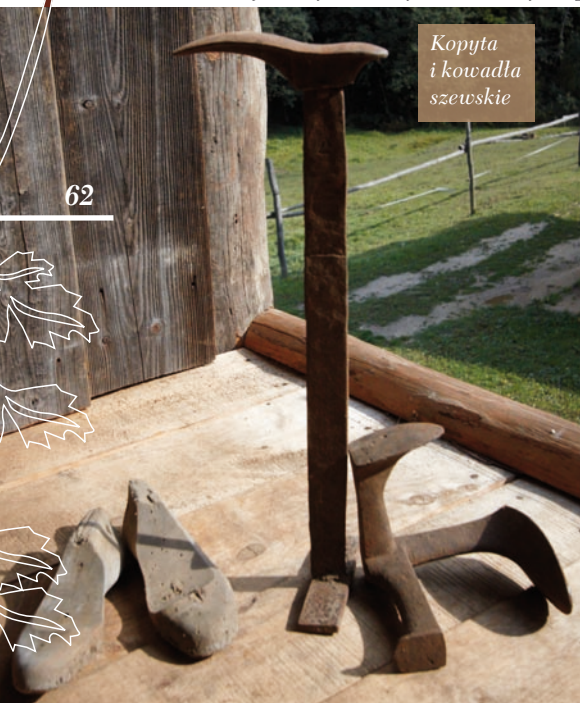


Dla większości mieszkańców wsi buty były dobrem luksusowym. Podczas letnich prac polowych powszechnym było chodzenie na bosaka, w zimie - w różnego rodzaju drewniano-słomianych buciskach, jedynie od święta czy wesela ubierano buty. Skóra pod stopami była bardzo gruba, często w czasie przerwy w pracach płatami odchodząca. Dochodziło też do tzw. podbicia, polegającego na tworzeniu się na pięcie podskórnych ropień, na które lekarstwem miało być ponoć, rozdeptanie podczas wykopów tzw. niedźwiadka (imago lub larwy turkucia podjadka). Buty niesione były przez całą drogę do kościoła pod pazuchą i jedynie na czas mszy, tuż przed wejściem, ubierane.

Szewe używał podobnych narzędzi do rymarza (szydła, szpilory, przebijaki, gnypy, młotki). Młotek szewski, dzięki swojemu kształtowi oprócz wbijania czy wyciągania gwoździ, pozwalał na rozbijanie zbyt sztywnej skóry. Do wyrobu różnych profilowo i rozmiarowo butów potrzebował

różnej wielkości drewnianych prawideł zwanych kopytami. Podobnie jak kowal, miał też swoje kowadło, które posiadało kilka wielkości podstaw, a jego budowa pozwalała na stabilne położenie w wielu pozycjach. Specjalne kowadło było do noszonych przez mężczyzn oficerek. Na wysokiej podporze nakładało się różnej wielkości metalowe nakładki.

Elegancki chłop musiał mieć wysokie oficerki z wąskimi cholewkami, których ściąganie odbywało się przy pomocy tzw. „pieska” umożliwiającego zahaczenie pięty przy jednoczesnym dociskaniu go do podłoża drugą nogą. Po zdjęciu, dla usztywnienia w cholewki wkładało się drewniane prawidła. Kobiety nie miały tego problemu, gdyż oficerki damskie były sznurowane. Dla przedłużenia trwałości



*Kopyta
i kowadło
szewskie*



podeszew i obcasów podbijano metalowe podkówki w kształcie półksiężyca, przez co chodzenie po kamiennej posadzce stawało się bardzo dźwięczne.

Buty wykonywane były w dwóch technologiach (kolkowanej i szytej). Do odpowiedniego rozmiaru kopyta należało dopasować kawałki skóry odwzorowane według odpowiedniej formy. Następnie zszyć część przednią (przyszwę) z częścią tylną (napiętkiem). Zawiniętą pod spód kopyta skórę należało teraz zesznurować (zestymnować) silną dratwą. Do takiej konstrukcji przykładano od dołu płat grubej skóry, wyprofilowany w kształcie stopy, zwany „brandzolem”. Za pomocą kilku kolków (patyczki podobne do zapalek wykonywane z drewna brzoźowego) należało te powierzchnie połączyć. W szczelinę pomiędzy brandzol a przyszwę wkładany był, klinowato ścięty, pasek skóry zwany „kiedrą”, która po zakolkowaniu pełniła rolę uszczelniającą. W wykonane na prześwit szpilorem otwory wbijane kolki, które dzięki siłom ściśliwości łączyły



Warsztat szewski z narzędziami



obydwie powierzchnie. Miało to jeszcze jedną zaletę względem np. szwu wykonanego w rowku fleka, a mianowicie to, że wraz ze ścieraniem fleka jednoczesnemu ścieraniu ulegał kolek zmniejszając swoją długość.) Teraz należało dołożyć fleki (zelówki) i całość połączyć podwójnym rzędem kołków. Kolki nie mogły być zbyt intensywnie dobijane, albowiem groziło to ich zbyt mocnym zagłębieniem się w drewnianym kopycie, co uniemożliwiałoby zdjęcie z niego buta. Obcas, oprócz kołkowania, przybijany był dodatkowo gwoździami szewskimi zwanymi „druſtyftami” (od niem. *Draſtstiffte*). Po dobiciu obcasów powierzchnie należało wyrównać, opiliować tarnikiem bez rączki (raszplą szewską) i zawoskować. Dopiero po zdjęciu z kopyta można było dobić mocniej kolki i gwoździe na kowadło. Po czym, ścięciem prostym, należało doszyć cholewki. Oczywiście warstwy podeszwy można było kleić, ale technologia klejenia była jeszcze słabo rozwinięta. Znano jedynie klej oparty na mączce kasztanowej zwany „ſtarpokiem”. Suszenie klejonych nim butów, na gorącym piecu, kończyło się najczęściej rozwarstwieniem podeszwy.

Zastosowanie szycia, zamiast kołkowania znacznie buta poszerzało, wymagało ponadto wykonania rowka od spodu, w którym ukryty był szew. Przy podeszwach stosowano ścieg szewski, który przy odpowiednim skoku (mniejszy od sumy grubości zszywanych skór) i silnym ściągnięciu gwarantował wodoodporność. Był to ścieg dwuniciowy. Każdorazowo nicie przewlekane były przez ten sam otwór z przeciwnych stron oraz dodatkowo, jeszcze przed zaciąganiem, przewlekane pod poprzednim oczkiem. Taki sposób postępowania powodował wewnętrzne zaciąganie się obydwu nitek, co czyniło każde oczko jakby niezależnym węzłem.

Z biegiem czasu obcasy i fleki zużywały się, wtedy należało je dodatkowo podzelać. Gwoździki w pięcie powodowały dokuczliwe uklucia, trzeba było wtedy zanieść buty do szewca, aby ten założył je na kowadło i poprzez intensywne dobicie spowodował ich zakrzywienia. Zużyciu ulegała też przyszwą, rzadziej piętka, wtedy nakładano na nią nowe przyszwy zwane „oberstynami”. Elegancja butów zależała od jakości użytej skóry, jak i fachowości szewca.

Kamieniarz

„Zeby Wom sie na kamyczku rodziło!” i „Niech Wom rośnie stokłosa od dupy do nosa!”

(Dwa przeciwstawne życzenia dla gospodarzy domu wypowiedane przez „Drobów” podczas Noworocznych Życzeń, zależne od obdarowania lub zamknięcia przed nimi drzwi)



A photograph of a stone grave marker. The marker is made of light-colored stone and features a large, simple cross in the center. Below the cross, there are three rectangular sections containing inscriptions. The top section has the letters 'TUL'. The middle section has the word 'SPOCZYWA'. The bottom section has the name 'PANTONINA MIKUL' and some other text that is partially obscured. The marker is set in a grassy area.

*Kamienny
nagrobek
cementarny*

Znaczny ciężar właściwy kamienia skutkował dużymi trudnościami transportowymi, a to z kolei miało wpływ na rozwój kamieniarstwa w miejscach występowania surowców (skał). Występowanie skał z kolei świadczyło o bardzo słabych glebach w okolicy występujących, na których nawet z żyta żabom oczy widać było.

W naszym rejonie Pogórza kamieniолomy rozsiane były dość gęsto, jednak wyraźna specjalizacja była we wsiach o słabych glebach, gdzie koniecznością było dorabianie na chleb. Daleko znani byli kamieniarze z Jodłówki Tuchowskiej, Ryglie czy Olszyn.

Kamienie pozyskiwane były ze skał, poprzez odlupywanie dużych jednorodnych fragmentów oraz z pól i lasów jako polodowcowe granitowe glazy narzutowe (eratyki) lub autochtonicznego pochodzenia bryły piaskowców. Z uwagi na bardzo częste występowanie bezpośrednio u podnóży skalistych sosnowych wzgórz bagnistych łąk, transport możliwy był jedynie w zimie. Stękali z wysiłku mężczyźni, stękały drewniane sanie, stękały w końcu lody bagien.

Kamień jako surowiec, był znacznie odporniejszy na rozmrażanie od cegły, stąd znalazł szerokie zastosowanie przy budowie piwnic, przygankowych schodów i podmurówek.

Były piwnice budowane z samorodków kamiennych wyorywanych w polach (tzw. wiółoki), przy których kamieniarz był w zasadzie budowniczym, jedynie elementy wejścia czy okienek wyspów nieco obrabiał. Sklepienia tych konstrukcji polegały na klinowaniu się płaskich płyt kamiennych układanych prostopadle do kierunku łuku. Tak najczęściej budowane były wolnostojące piwnice i studnie. Te znajdujące się pod chałupami lub spichlerzami były już wykonywane przeważnie z ociosów. Podobnie jak kamienie podmurówkowe obrabiane były najstaranniej ze strony zewnętrznej (licowej), nieco mniej starannie, natomiast z tych, które decydowały o stabilności konstrukcji. Strona od ziemi nie była w ogóle obrabiana. Z prawdziwym kunsztem wykonywano wejście, a na kamiennej belce zwieńczenia (nadprożu) najczęściej wykuwany był rok budowy.

Bardzo wielkie znaczenie miała jakość kamienia zależna od lepiska, wielkości ziaren, samorodnych płaszczyzn przelupu. Wprawny kamieniarz jedynie spojrzał na kolor i granulację kamienia oraz dodatkowo zarysował po nim szpicem, żeby móc już powiedzieć, do czego ten kamień się nadaje. Łatwość obróbki była bardzo ważną właściwością. Głównym surowcem w naszych regionach były różne odmiany piaskowców dzielone na lite, warstwowane, piaskowate, gradówkowate i inne. Był też kamień diabelski (diobli kamień) charakteryzujący się bardzo dużą twardością, co nie byłoby





jeszcze wadą, ale ponadto nieposiadający wyraźnych płaszczyzn przelupu. Po rozbiciu rozpadał się na wiele nieforemnych mniejszych części. Nadawał się jedynie na narożnikowe podziemne części stóp podmurówek, zastępując dawny dębowy pniak, o ile pozwalała na to jego wielkość. Najczęściej jednak zalegał, niechciany przez nikogo, z boku kamieniołomów.

Nie było żadnej mechanicznej pily do cięcia kamieni, wszystko należało zrobić w oparciu o różnej wielkości szpice, majzle i dłuta pobijane młotkiem, jak i różnego kształtu kilofy i oskardy. Przecięcie poprzeczne dużej płaskiej płyty wykonywano poprzez delikatne wykonanie szpicem niewielkiego rowka wzdłuż linii podziału. Płyta ułożona musiała być na miękkim podłożu, takim aby nie odbijało uderzeń mogących być przyczyną przypadkowego pęknięcia. Kolejne uderzenia doprowadzały do pęknięcia po zamierzonej linii. Obróbka na dokładnie odbywała się poprzez różnego rodzaju przycieranie i szlifowanie. Na potrzeby gospodarstw kamieniarze wykonywali oprócz dolnej części budowli, także oselki, kamienie do brusów i żaren. Te ostatnie spowodowały całkowite zniknięcie z naszego krajobrazu polodowcowych głazów narzutowych. Surowiec na żarna musiał być bardzo twardy, najlepiej granitowy. Ponadto musiał być łatwo obrabialny, żeby można było obrobić go na kształt koła, jak i wykonać otwory. Zastosowany piaskowiec szybko uległby zagładzeniu. Kamienie takie były również przywożone na jarmarki, razem z innymi, niewystępującymi lokalnie dobrami. Co pewien czas należało przeprowadzić klepanie zagładzonych kamieni młyńskich. Kamieniarz przy pomocy małego oskarda, szpica lub siekierki nadawał ponownie powierzchniom trącym chropowatą strukturę umożliwiającą mielenie. Część przyśrodkowa powinna być poklepana głębiej, bo tam dostawało się całe ziarno, a część zewnętrzna drobniej. Była też metoda klepania na kształt promieniście rozchodzących się coraz cieńszych rowków. Klepanie kamieni, drutowanie glinianych garnków, zakuwanie i nitowanie metalowych naczyń, często wykonywały te same osoby chodząc od domu do domu i proponując swoje usługi.

Oselkę wyrabiano z droбноziarnistego kamienia o ilastym lepiszczu. Taki kamień namoczony w wodzie musiał „ciągnąć” po ostrzu kosy, a nie

jedynie „smytlać” tak, aby chłop mógł sieć kamieniem, a nie na siłę ramieniem. Zbyt ostra osełka powodowała szybkie zużycie kosy poprzez zostrzenie poklepanej części krawędzi tnącej.

Wśród kamieniarzy rzemieślników byli też artyści, ci z kolei wykonywali nagrobki, jak i przydrożne czy kościelne figury.

Zupowszechnieniem się betonu kamieniarze popadli w niełaskę, bo raptem społeczeństwu niezmiernie zaczęły się podobać gładziutkie powierzchnie betonowe. Na szczęście czas ten już minął, ale sztuka kamieniarska do nas nie wróciła, a nieczynne kamieniołomy stanowią jedynie atrakcje turystyczne.



Starodawne żarna (żarnówka)

Garncarz, ceglarz i zdun

„Dopóty dzban
wodę nosi, dopóki się
ucho nie urwie!”

(Mądrość ludowa)



Właśnie ta przypadłość wyrobów garncarskich spowodowała prawie całkowity zanik tego zawodu w czystej formie. Względy użyteczne przeważały nad estetyką. Blaszane i żeliwne naczynia wyparły całkowicie te gliniane. Garnuszki, dzbany, garnki, dwojaki odeszły w niepamięć, jedynie wazy na wiaty dość długo się jeszcze utrzymały. Te z kolei pokonał dopiero, wszechobecny dzisiaj plastik. Garncarz czy zdun jako zawody wyodrębniły się stopniowo. Początkowo wyrobem glinianych przedmiotów, jak i stawianiem pieców zajmowały się te same osoby.

Warsztat garncarski, ze względu na zlokalizowany w nim wysokotemperaturowy piec, był podobnie jak kuźnia - oddzielną budowlą. Garncarz musiał być prawdziwym znawcą ziemi. Roztarcie w palcach, zapach i kolor dostarczało wiadomości o składzie granulometrycznym, kurczliwości przy wysychaniu, zachowywaniu podczas wypalania czy wreszcie o ostatecznej wytrzymałości. W zależności od przeznaczenia i wielkości naczynia należało dobrać odpowiedni skład zastosowanej gliny. Bardzo ważną rolę odgrywało również jej przygotowanie. Idealną sytuacją było przeleżenie przywiezionej gliny przez całą zimę, jej rozmrożenie i zlasowanie. Gлина pozbawiona musiała być oczywiście części organicznych w postaci korzeni, liści, pędaków i dżdżownic. Musiał to być materiał jednorodny, pozbawiony grudek czy większych ziarenek piasku. W tym celu po wysuszeniu była poddawana tłuczeniu, przesiewaniu, mieleniu czy zbijaniu młotkiem. Formowana później w walce, odcinana po kawałku sierpem i formowana w tzw. kluski i pacyny, po wysuszeniu była ponownie tłuczona. Wtedy dopiero była gotowa do wyrobu. Rzeczywistość działała jednak na skróty. Nasze regiony zasobne były w dobrej jakości jednorodny surowiec. Do dziś po lasach można znaleźć miejsca po tzw. gliniankach, nawet zachowały się nazwy miejsc typu „czerwona glinka”, „żółtawica” czy białka. Odpowiednio te kolory odpowiadały udziałowi żelaza, manganu, glinu czy wapnia, stąd oprócz garncarskiego zastosowania, używane również były do bielenia ścian.

Garncarz siedząc na ławie miał przed sobą przyrząd, zwany kołem garncarskim, złożony z dwóch kół na wspólnej osi obudowanych ramową konstrukcją. Dolne koło, znacznie większe pełniło rolę koła



zamachowego, napędzane nogami wprawiało w ruch obrotowy, mniejsze górne koło, na którym garncarz rękami formował swoje wyroby. Dla ozdabiania używał różnego rodzaju rylców lub maczał przed wypalaniem w odpowiednich substancjach.

Glina musiała posiadać taką konsystencję, aby dawała się formować, a jednocześnie utrzymywała żądany kształt po zatrzymaniu koła. Odcięte drutem lub długim rylcem naczynie, odstawiane było do wyschnięcia i dopiero potem wypalane w piecu. Temperatura w piecu sięgająca 1000 °C, oceniana była doświadczalnie po kolorze, zachowywaniu się wrzuconych próbek czy iskrzeniu posadzki pieca. Po wypaleniu mogło odbywać się dalsze zdobienie. O stuprocentowej udatności nie było mowy, część naczyń pękała lub nadmiernie się zdeformowała. Wypalane z czerwonej glinki fajki wylepiane były ręcznie. Naprawą niewielkich uszkodzeń lub zabezpieczeniem glinianych naczyń drucianą siatką zajmował się druciarz. Niestety, naprawiane przez niego naczynia musiały zmieniać przeznaczenie - z naczyń na płyny, na naczynia przeznaczone na produkty sypkie.

Dachówka z Czermnej



Cegła, dachówka czy kafle formowane były ręcznie lub na specjalnych formach (podkładkach). Dla nadania licowym stronom gładziej powierzchni, dachówka zagładzana była na mokro, specjalnym profilowanym strychulcem, początkowo drewnianym, potem metalowym. Kaflom nadawane były różne ryte wzory, malowidła i glazury.

Palenisko, a potem piec kuchenny, przechodziło całą swoją ewolucję. Kurna chata bez powały, a jedynie z dziurą w dachu, z biegiem czasu wzbogaciła się o komin, budowany pierwotnie z gliny oblepianej na słomiano-gąłęziowym rusztowaniu. Patyki stanowiły żebrowanie pionowe, które owijano słomą i zalepiano gliną. Dym z paleniska przedostawał się do kominu poprzez wiszącą nad nim kapę. Piec chlebowy umieszczony był na górze, nad paleniskiem, a dym z niego wydostawał się poprzez czeluście, zatykane po napaleniu połówkami cegły. U dołu pieca kuchennego znajdował się półkola wnąka, która w zależności od zwyczaju domu, stanowiła składowisko przeróżnych rzeczy. W okresach zimniejszych było to też schronienie dla gęsi czy kwoki wysiadującej jaja, bądź też już prowadzącej pisklęta. Z biegiem czasu pojawiły się rozwiązania ograniczające ilość zadymienia w pomieszczeniu kuchennym w postaci kanałów dymowych wewnętrznych. Swoją rolę odegrał też pojawiający się coraz częściej węgiel. Nastąpiła też zmiana technologii budowy kominów, zastosowanie rusztów i popielników, a w końcu blach z fajerkami zamiast denarków. Stosowane przejściowo, zewnętrzne dodatkowe kanały dorabiane do istniejących budowli, nazywane były chłopokami lub babkami, a miejsce za nimi, służące nieraz do suszenia przemoczonych butów tzw. zabobką. Zniknęły też czeluście i kapy wylapujące dym z otwartych palenisk. Zdun z producenta i wykonawcy wyspecjalizował się w budowniczego pieców z cegły lub kafli. Zimą w domach nieraz doskwierał chłód, stąd nagrzaną piec stanowił najcieplejsze miejsce, o które rywalizowały dzieci na zmianę z chorymi członkami wielopokoleniowej rodziny. Był to tzw. przypiecek. W naszych regionach piec po stronie kuchennej z paleniskiem i szybrami (sibrami) kanałów nazywany był po prostu kuchnią. Piecem natomiast nazywana była budowla od strony izby, ogrzewana przechodzącym przez nie dymem kierowanym z paleniska w kuchni, poprzez otwarcie





*Zrujnowany piec z kapą i kociółkiem
fot. archiwum Mieczysława Solarza*

odpowiedniego szybra. Taka trójszybrowa konstrukcja wraz z brandurą (z niem. Bratrura lub od używania przez Żydów podczas sobotniego Szabasu - szabaśnikiem) i piecem chlebowym stanowiła ostatni etap ewolucyjny pieców kuchennych. Następnym są już kuchenki elektryczne i gazowe. Rozbiórka starego pieca kuchennego to swoiste archiwum nędzy chłopskiej. Fragmentami starych zawiasów, byle jakich prętów, i innym wszelkim starym dziadostwem próbowano zapchać wnętrze pieca, byle tylko jako tako się trzymało. Żeby zwiększyć pojemność cieplną pieca wbudowywano w niego oprócz cegieł kamienne otoczaki, które w naszych regionach ze względu na miejsce pozyskiwania (rzeka Ropa) nazywano „ropiokami”.

Prymitywne wypalanie cegły mógł wykonywać praktycznie każdy. Ręcznie lub w drewnianych formach uformowaną i wysuszoną cegłę układano w zagłębieniu w stosy i rozpalało nad nią ognisko. Centralnie ułożona w stosie cegła nadawała się na zewnętrzną, a obrzeżna jedynie na wewnętrzną część komina. O ile wypalający nadmiernie opału nie poskąpił.

Bednarz

„Kiedy z daleka zagrzmia-
ło, w okolicy mówiono, że
w Żurowej beczki toczą.”

(Powiedzenie lu-
dowe)





Wytwarzanie wielu przedmiotów codziennego użytku należało do bednarzy. Zawód ten ogranicza się obecnie, w zasadzie do elementów wykonywanych techniką klepkową, jednak uprzednio należałoby go rozumieć znacznie szerzej. Wszelkie dłubanki, łopaty do chleba, cioski, drobne naczynia typu łyżki czy nawet klepkowe saszki należały do jego zadań. Techniką dłubania w litym drewnie wykonywano wiele przedmiotów otwartych, przeznaczonych raczej na produkty sypkie. Zmniejszanie objętości drewna wraz ze zmniejszaniem jego wilgotności powodowało częste pęknięcie takich przedmiotów, pomimo że stosowano gatunki drzew z drewnem o strukturze ciągłej (lipa, olcha, jawor, wierzba czy topola). Za pomocą siekier, ciosel, dłut i skrobaków wykonywano koryta, niecki, stępy, pojemniki na zboże i inne. Przedmioty te najczęściej nie nadawały się do przetrzymywania cieczy, na co pozwalały przedmioty tworzone techniką klepkową.

Generalnie przedmioty te można by podzielić na otwarte i zamknięte. W zależności od przeznaczenia, kształtu czy wielkości przybierały one różne nazwy. Szersze wierzchem były te, które służyły na mleko czy wodę, a więc skopce, wiadra, cebrzyki, wanienki czy balie. Węższe górą były faski na groch czy do słonienia słoniny, dzieże chlebowe i ćwierci służące jako jednostki miary objętości zbóż.



Niewielkie koryto z cieślicami

Zawsze jednostronnie węższy kształt pozwalał na dociśnięcie klepek do siebie za pomocą nabijanych zewnętrznie obręczy. Największe wielkościowo były beczki na kapustę, czy zboże, które dochodziły nawet do jednego korca (cztery ćwierci). Przed przystąpieniem do napełniania beczki kapustą należało podobiać obrączki i zalać wrzącą wodą, żeby poprzez napęczniecie, uszczelniała się.

Technika wykonania beczki otwartej

W zależności od wielkości (średnicy) przyszłej beczki bednarz musiał wykonać klepki - o odpowiedniej krzywiznie łuku, zbieżności podłużnej i odpowiednim kącie ścianek przylegania - tak aby klepki po złożeniu dobrze dopasowały się wzajemnie. Klepki wykonywane były z kawałków prostego, bezsęcznego, promieniowo łupanego drewna, które obrabiane było dożądanego kształtu na dziedzie, za pomocą specjalnych profilowanych ośników. W zależności od przeznaczenia stosowano drewno świerkowe, lipowe, olchowe czy jodłowe. Unikać należało jedynie drewna żywiczającego. W przedmiotach o przekroju okrągłym klepki powinny być prawie identyczne, jedynie ostatnia, uzupełniająca do pełnego okręgu mogła być nieco większa lub mniejsza. Znacznie trudniej było przy owalnych baliach - tam zarówno szerokość, wybrzuszenie, jak i kąt klepek zależny był od położenia po owalu. Przy mniejszych średnicach dno było wykonane jako calizna (z jednej deski). Większe średnice uzyskiwano składając po kilka desek. Denko musiało być zewnętrznie, obwodowo, klinowato cieńsze (sfazowane), podobnie wyglądał obwodowy rowek od wewnętrznej strony klepek (wręb, zaciór). Zakładany obwód dna, po odjęciu wielkości zachodzenia we wręb, powinien być tak dobrany, aby klepki dociskały się do dna, jak i ściśle przylegały do siebie. Beczki wymagające dużej wytrzymałości posiadały metalowe obręcze, pozostałe miały najczęściej obręcze z leszczynowego łyka. Obręcz taka wykonywana była z bezsęcznego fragmentu prostej leszczyny, zaparzana w piecu lub wodzie i łupana na paski. Paski dodatkowo obrabiane były ośnikiem, heblem lub nożem, tak aby przyszła strona wewnętrzna była zbieżystością dopasowana do stożkowatości beczki. Obydwa końce połączone były na zamek,





który mógł być składany bocznie lub poprzez skrętne przewleczenie (podobnie jak sprzączka pasa harcerskiego). Istniała też możliwość wykonywania obręczy z całych pędów łożin owiniętych końcami sznurkiem. Obręcz metalowa wykonywana była z różnej szerokości bednarki, połączonej poprzez nitowanie. Zbieżystość takiej obręczy uzyskiwano poprzez jednostronne rozklepanie na kowadło, stąd bardzo ważne było zakładanie obręczy odpowiednią stroną. Klepki należało mieć ponumerowane kolejnością, bo nieraz całe składanie zakończyło się jak puszczzone w ruch domino. Do składania przystępowano najczęściej kilkakrotnie, kolejno dopasowując klepki do siebie. Gdy klepek „zbywało” należało kilka z nich strugnąć delikatnie heblem, gdy były luźnawe należało włożyć między klepki liść rogoziny (pałki wodnej lub tataraku). Kolejne dopasowywanie doprowadzało do końcowego sukcesu. Obręcze, których musiało być przynajmniej dwie pobijane były, poprzez kawałek metalu, w kierunku o większej średnicy. Ich cofaniu miało zapobiec zatarcie zmieszane z tłuszczem lub dziegciem żywicą świerkową. Wtedy należało przystąpić do robót wykończeniowych i beczka była gotowa. W ciągu swojego „życia” beczka jeszcze wielokrotnie, w miarę rozsychania, miała dobijane obręcze. Z biegiem lat wymieniane były uszkodzone klepki i zatykane wiechciami szmacianymi dziury po myszach.

Technika wykonania beczki zamkniętej

Na miód, piwo, wino czy gorzałkę konieczna była beczka zamknięta i szczelna. Wytwórstwo takich beczek było znacznie bardziej skomplikowane. Dwa równej średnicy dna trzeba było w jakiś sposób zamknąć klepkami. Zamknięcie ich w sposób prosty (walcowy) w żaden sposób nie gwarantowało szczelności, bo nie dało się dobijać obręczy. Wszystkie elementy beczki musiały być w nieustannym naprężeniu gwarantującym wzajemne przyleganie. Takie właściwości miał zapewnić odpowiedni kształt klepki (najszerza na środku klepka o śledziowatym kształcie) i odpowiednia technologia budowy beczki. Klepka dodatkowo była zebrana z grubości na środku, aby się łatwiej wygięła. Cała tajemnica tkwiła w sposobie zaciskania klepek. Taka beczka opasana być musiała czterema mocnymi obręczami. Te, po obydwu stronach



środku (pęku) nazywano pękowymi, a te najbardziej zewnętrzne watorowymi (wątornymi). Klepki najczęściej były dębowe lub z innego twardego pierścieniowonaczyniowego drewna, konieczne łupanego promieniowo.

Dopasowane do siebie i ponumerowane klepki oraz dopasowane do nich dna, łączono najpierw jednostronnie nabijając pękową i watorową obręcz. Taki wehikul stawiano na klepkach dnem do góry, a wewnątrz rozpalało ogień, który oprócz nadania drewnu bardziej elastycznej struktury dawał późniejszym produktom specyficzny posmak. Następnie beczkę należało ustawić na leżąco i za pomocą mocnej liny owiniętej dwukrotnie wokół rozciepierzonych klepek, ściągaczem kołowrotowym lub ślimakowym ściągano klepki do siebie, aby zamknęły się wokół drugiego denka. Wtedy należało założyć obręcz watorową, a następnie pękową. Cała ta czynność, rzadko kiedy udało się wykonać za pierwszym razem. To któraś klepka pękła, to coś innego nie pasowało i cała operacja od nowa. Ściągane na siłę klepki wydawały z siebie głuche postękiwania i trzaski. Po udanej próbie można było przejść do obróbek wykończeniowych oraz ostatecznie włożyć drugie dno i podobić obręcze. Na koniec należało beczkę zawoskować, gdyż miała przechowywać produkty o dużej lepkości, a te jak wiadomo, przesączają się nawet przez mikroskopijne naczynia drewna dębowego.

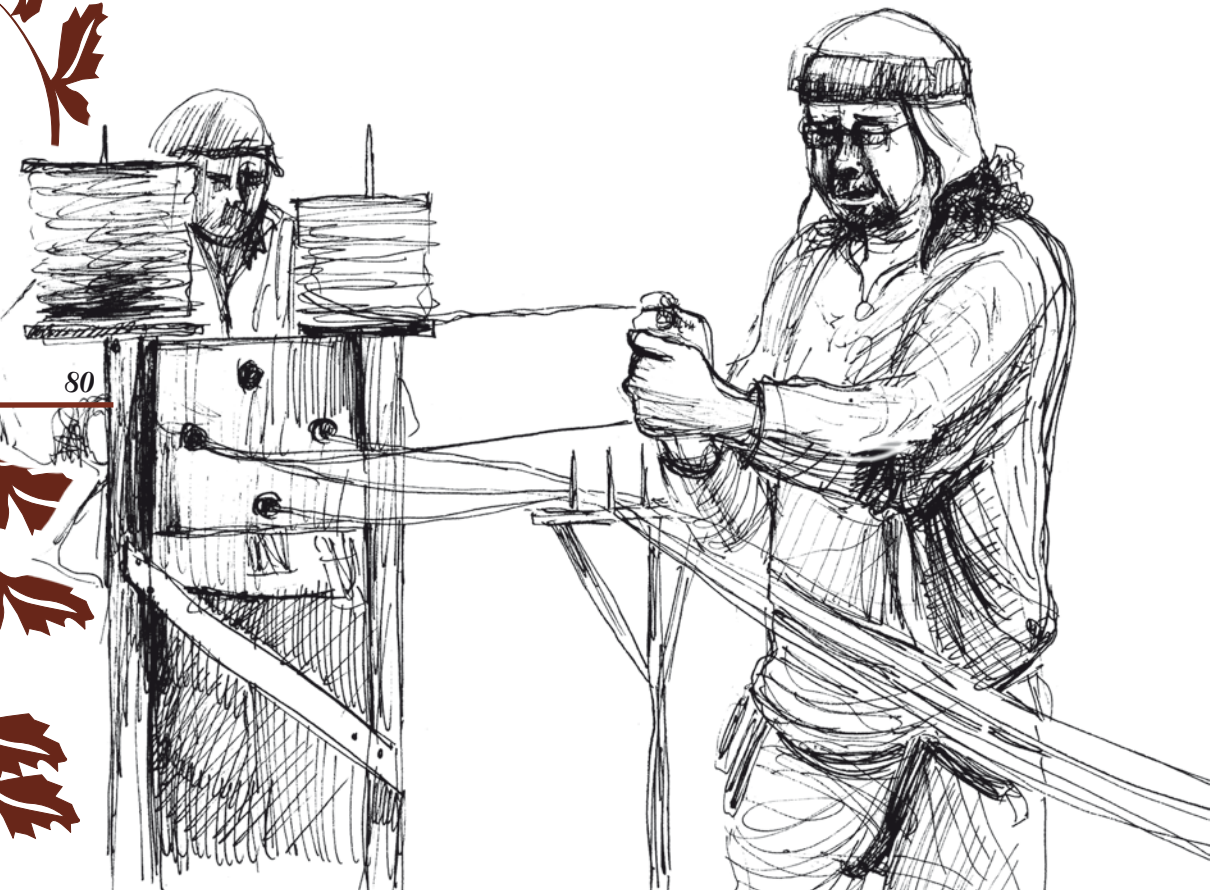
Do sztandarowych wyrobów bednarskich należała maśniczka kolkowa, zwana również „durdułką”. Dół stanowiła otwarta beczka w typie wąskiej faski. Na niego nakładany był, na wcisk, wierzchnik będący otwartą beczką z denkiem pośrodku. Przez otwór dna wierzchnika przechodził kolek zakończony ażurowym krążkiem. Nadmiernemu wyciąganiu przez kolek śmietany do góry zapobiegała tzw. „prowda”, stanowiąca rodzaj kopulastej dłubanki. Był to element najbardziej nietrwały, stąd zdarzały się domy, w których tę właśnie „prowdę” robiono każdorazowo z karpia (brukwi).

Bednarze nie należeli do bogatych rzemieślników, imali się każdego zajęcia pokrewnego z obróbką drewna. Reperacje wszelkich drobnych sprzętów rolniczych należały do ich zadań. Jako posiadacze różnych narzędzi i dziada mogli wytwarzać gonty czy klepki na boki sąsiedków. Trudnili się też wykonywaniem sit czy garncowych miarek z zawijanego drewna.



Przędzalnictwo, tkactwo, powroźnictwo

„U przgśniczki siedzą jak anioł dziewczeczki”....
(Pieśń - Słowa Jan. A. Czeczot, muz. Stanisław Moniuszko)







Każda młoda dziewczyna od najmłodszych lat uczyła się sztuki przędzenia wełny, lnu lub konopi od swojej matki. Kiedy wychodziła za mąż, musiała mieć gotowe wiano składające się z poduszek, bluzek, płacht, które były niezbędne w gospodarstwie. Na początku musiała być nić. W tej dziedzinie pomimo nieporównywalnie większego zaangażowania kobiet, brali udział także mężczyźni. Mianowicie kręcili sznurki i powrozy.

Głównym surowcem zwierzęcym była wełna, roślinnym len i konopie (czasami pokrzywa). Z wełny wyrabiano przeważnie swetry, skarpety czy filcowe kapelusze. Len był głównie surowcem na ubrania, nici i obrusy, konopie zaś materiałem na powrozy czy worki. Był też cenną rośliną oleistą. Gniecione w stepach siemię i wyciskana z niego oliwa, była jedyną Wielkopostną omastą. Co ciekawe worek lniany był za słaby do wyciskania oliwy, stosowano więc worki z końskiego włosia.

Przed przystąpieniem do przędzenia wełny, należało ją poddać gręplowaniu. Mogło być wykonywane ręcznie poprzez tzw. wyskubywanie, ale najczęściej było wyczesywane między dwoma zgrzeblami (grymplami). Tak przygotowana wełna nakładana była na krężolek, a ten z kolei na kolek przysiadki. Przędka, siedząc na ławce z przysiadką, w prawej ręce trzymała wrzeciono, lewą zaś pociągała z kądzieli jednolity strumień wełny. Zakręcając w palcach wiszące wrzeciono strumień wełny ulegał skręceniu. Następnie należało go zawinąć wokół patyka wrzeciona. Wrzeciono działało na podobnej zasadzie jak bąki dla dzieci, zasmyknięcie nici na górnym końcu trzonka zabezpieczało przed rozwijaniem nici i umożliwiało jego wiszący ruch obrotowy. Ponieważ jedna ręka ciągle „uwiązana” była przy kądzieli, zerwane nici prządka sprytnie wiązała poprzez zsuwanie podwójnej złożonej nici po poślinionym, wskazującym palcu prawej ręki.

Ułożenie kądzieli, w zależności od zastosowanego surowca, było nieco inne, ale zasadniczo wiązana była u góry krężółka powrózkiem od dołu podwinęta. Inaczej mocowano włókna lniane długie (poczesne), inaczej zgrzebne (purafne). Wełna też posiadała dwa rodzaje: ta lepsza czesankowa i podlejsza (zgrzebna). Zastosowanie kołowrotka (przędki) było prawdziwą rewolucją. Ruch obrotowy zapewniał napęd nożny, obydwie ręce mogły

pracować przy wyciąganiu kądzieli. Znacznie wzrosła wydajność, zdecydowanie łatwiejsze było szpulowanie polegające na łączeniu przeciwnie skrętnym dwóch nici. Nici z wrzeciona, czy szpuli (palpy) prządki, nawijane były na motowidła i wiązane w motki. Ważne było, aby w motku była ta sama ilość zwoi, dająca tę samą długość przy nawijaniu na bęben osnowadła warsztatu tkackiego.

Zgręplowaną wełnę można było poddać procesowi filcowania (zbijanie – przeważnie na mokro), uzyskując w ten sposób materiał na kapelusze i różne podkłady. Wykonywanie w ten sposób całych ubrań było już cechą góralszczyzny, co wynikało bardziej z braku dogodnych warunków do uprawy lnu niż wygody noszenia „gryzących” ubrań. Z bardzo grubo skręconych, wełnianych nici i mieszanych technik wykonania, uzyskiwano popularne chusty na głowę i plecy zwane „budrysówkami” czy „baranówkami”, które potem wyparły bawełniane „tybetówki”.

Narzędzia do obróbki lnu, od lewej: cierlica, purafek, szczotka, dryl





Uzyskanie włókien lnianych czy konopnych było procesem dość skomplikowanym. Len po wyrwaniu, układany był na polu w rzędy i „rosił się” przez kilka dni. Następnie po ususzeniu, pozyskiwano z niego nasiona poprzez wyczesywanie na tzw. purafku, umocowanym w ścianie między belkami (sculbanie). Tak przygotowane lodygi miażdżono poprzecznie na tzw. cierlicy. Teraz należało wyczesać lodygi z niewłóknistych resztek i włókna były gotowe. Te proste, najlepsze, które zostały w ręce nazywano „poczesnymi”, te zebrane ze szczotki, krótsze, pourywane nazywano „purafnymi”. Płótno z włókien poczesnych, jako to najszlachetniejsze, poddawane było procesowi bielenia. Wyłożone w miejscu słonecznym (blychu, przypaci) zraszane było wodą i wypalane promieniami słonecznymi bieleło aż do uzyskaniażądanego efektu. Cały ten proces mogły niestety zniweczyć znane z robienia częstych „placków” gęsi.

Naprzemiennie, skrzyżne układanie nici dawało płótno. Wszystkie prymitywne ramy tkackie odeszły w niepamięć wraz z pojawieniem się warsztatu tkackiego (krosen tkackich). Zamiast żmudnego przewlekania kolejnych nici, wystarczyło jedno przełożenie czółenka. Pozwalało na to zastosowanie dwóch oddzielnie działających niciennic, pozwalających na naprzemiennie przemieszczanie, najczęściej parzystych i nieparzystych nici osnowy. To przemieszczanie następowało poprzez naciśnięcie nogą odpowiedniej stopki. Osnowa, czyli sieć nici wzdłużnych, rozciągana była poprzez niciennice, płochy i siatki, od bębna początkowego, na który nawijano nici zwanego „osnowadłem”, do bębna końcowego, na który zwijało się już gotowe płótno. Między nitki osnowy, znajdujące się w poszczególnych

Siatki do warsztatu tkackiego



nicielnicach, prządka przekładała członko z nicią wątku (nitki poprzeczne). Dla uporządkowania nici wątku dobijano je za pomocą ruchomych siatek. W zależności od zastosowanej przędzy, jej koloru, grubości można było uzyskiwać przeróżne motywy. Tkacz nazywany był lokalnie knopem.

Tkactwo było przez wieki ważnym źródłem dochodu mieszkańców naszych okolic, składały się na to zarówno wytworzone tradycje jego produkcji, jak i dogodne warunki do uprawy lnu.

Zanim można było przystąpić do kręcenia powrozów należało ukreślić pojedyncze sznurki (powrózki). Znów w sposób niezmiernie sprytny wykorzystywano bezwładność obrotową. Kółem zamachowym było kółko podobne do koła od taczek, a cały sęk polegał na jego ukośnym ustawieniu w stosunku do ściany i kierunku pociągania sznurka. Na szprysze, nieco nad głową kółka, mocowało się do drucianego oczka początek konopnego sznurka. Kłęb konopny trzymany był pod pazuchą lub w zanadrzu. Poprzez silniejsze pociągnięcie skręcającym się sznurkiem w odpowiednim momencie, uzyskiwano podtrzymanie jego ruchu obrotowego i dalsze skręcanie sznurka. Po uzyskaniu odpowiedniej długości sznurek najczęściej skręcano podwójnie na pół, przez co po zwolnieniu nie miał samoczynnych tendencji do odkręcania się lub tworzenia tzw. kulek (pocolków).

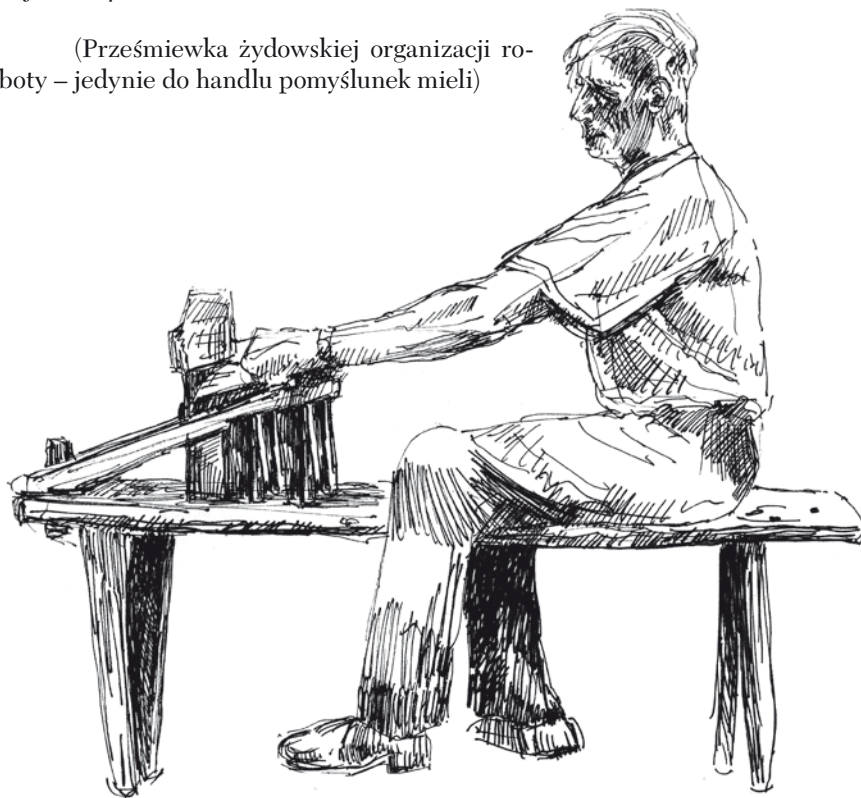
Urządzenie do kręcenia powrozów składało się z ruchomego wózka, często obciążanego kamieniem, stacjonarnego stołu z ruchomymi hakami na sznurki, cztero lub trój rowkowego bąka (orzecha) i czterootworowej deski. Grubość przyszłego sznura można było regulować ilością zapiętych do jednego haka sznurków. Idea skręcania polegała na stworzeniu równowagi między włóknami dążącymi do rozwijania się, z włóknami dążącymi do związania się. Powstały w ten sposób sznur wtedy uznawano za wystarczająco mocno skręcony, jeżeli przy pionowym postawieniu, co najmniej metr nie ulegał opadaniu. Uzyskiwano to, poprzez dobijanie skręcanych sznurków składowych bąkiem. Podobna do odciedzaka czterootworowa deska służyła do jednoczesnego napędu obrotowego czterech hakowatych korb, do których zamocowane były sznurki. Teraz należało tak przewlec jedną stronę, aby uzyskać oczko (kolucho), a drugą tak, aby zapobiec rozplataniu.



Cieśla, stolarz

Jak Żyd łolpiyjski do dachu chłopów najął, to żeby robotła szybko ubywała sześciu na dach posłół, a ino jedynego na dole zostawił, żeby kicorki krynciół i podawoł.

(Prześmiewka żydowskiej organizacji roboty – jedynie do handlu pomysłuńek mieli)



Z biegiem wieków ludzie byli coraz wyżsi, standardem stała się powała, stąd przyglądając się ewolucji budownictwa zauważamy coraz wyższe drzewa i ściany budynków. Z początku „kaczkowate” kurne, bezpowalowe (bezsufitowe) i bezpodłogowe chaty musiały ustąpić miejsca nowoczesności. Cały czas mamy jednak głównie do czynienia z drewnianym budownictwem zrębowym. Na początku z podwalinami i przycieśami, układanymi bezpośrednio na ziemi (na niewielkim wale ziemnym), wspartymi jedynie w miejscach węgiel na pniakach dębowych. Później podwaliny kładzione były na kamienne podmurówki. Początkowo nie obrabiane (caliznowe) belki łączone były bez użycia gwoździ, (miejscowo jedynie kołkowane), ewoluowały do jednowymiarowych, nawet felcowanych belek czy płazów. Wszelkie czopy, zamki, wpusty, gniazda czy zakładki, z pojawieniem się gwoździ ulegały znacznemu uproszczeniu. Zaczęto ciosać lub obżynać belki do w miarę jednolitych rozmiarów, co wcześniej wyrównywano naprzemiennym układaniem wierzchołkowymi i odziomkowymi stronami. Cieśla każdorazowo wybierał najlepsze drzewo na podwalinę i belki progowe - koniecznie odziomkowe, najlepiej mocno żywiczne lub nawet dębowe. Wysokie progi chałup nie były więc wymysłem jedynie przeszkadzającym w poruszaniu się, ale koniecznym elementem spinającym podwaliny chałupy. Na progach siadywały też dzieci, marudząc na „gniecień” w brzuchu po zbyt łakomym objedzeniu się świeżym chlebem. Drewno takie gwarantowało stabilność całej konstrukcji chałupy. Teoretycznie drewno powinno być sezonowane, ale różnie z tym bywało, gdyż drewniane budownictwo znacznie bardziej narażone było na różne zdarzenia losowe (pożar, zawal). Drewno ścinane było przeważnie w zimie, za pomocą pił ręcznych i siekier. Dawni drwale i cieśle starali się przestrzegać pór ścinania drzew w zależności od ich przeznaczenia. Całość kłody była w pełni wykorzystywana. Najlepsza odziomkowa część na podwaliny lub płatwie dachu, dalsza na ściany lub słupy dachowe a wierzchołki na krokwie. Do lasu szła często cała rodzina. Gospodarz, na przdzie, siedł z opasaną przez ramię lub zapiętą sznurkiem na plecach piłą, za nim szła gospodyni z dużą siekierą i jedzeniem, na końcu starsze dzieci niosące najczęściej jakiś łańcuszek do obracania, kliny i małe siekierki do





krzesania. Całodzienna wydajność to dwie, trzy duże jodły, bo na zimowym, krótkim dniu droga zabierała lwią część czasu. Dzieci w powrotnej drodze powłóczyły już nogami, pomimo, że idący przodem ojciec, drogę w śniegu przecierał. Po ścince, o ile tylko sanna pozwalała, należało drzewo ku domowi lub do „troca” (tutaj jako właściciel tartaku) przywieźć, inaczej łatwo mogło pod cudzą „opiekę” się dostać.

Rzadko kiedy chałupa budowana była całkowicie z nowych materiałów. Najczęściej wykorzystywano belki ze starych budowli, uzupełniając je nowymi. Uważano nawet, że stara belka, którą już czas i słońce, a nawet i pożar sprawdziły, wytrzyma znacznie więcej jak ta nowa, o nieznaną jeszcze trwałości. Tak było w przypadku belek pozyskiwanych od strony południowej, te północne, najczęściej były już do niczego. Brak naświetlenia, a przez to podatność belek od strony północnej na gnicie, nieco ograniczyć można było usytuowaniem chałupy frontem (przodem) na słońce ustawione o godzinie jedenastej. Zachodzące słońce penetrowało wtedy ścianę północną, nieco ją osuszając. Niestety, zacinanie tej ściany deszczem i śniegiem bardziej od innych narażało ją na gnicie. Do ciosania belek służyły topory (odpowiednio lewy i prawy).

Do przecinania służyła tzw. „tracka” będąca formą tartaku pionowego cięcia. Obrabiana belka leżała przymocowana klamrami na wysokich krosnach, a odpowiednio ustawiani pod i nad belką dwaj tracze, pociągali naprzemiennie dwustronną pilę, umieszczoną w prymitywnych prowadnikach. Ciężka, mozolna i niewydajna praca, stąd ograniczana była do absolutnego minimum jak np. dchy powalowe (powaloki). Najczęstszym sposobem wiązarów belkowych był tzw. „jaskółczy ogon”, początkowo z ostatkami, następnie wyrównywany do płaszczyzny ściany. Wiązar ten, ze względu na system skośnych zacięć, nie pozwalał na rozchodzenie się belek, ale wymagał znacznie większej precyzji wykonania niż węgło proste.

Cieśle, po złożeniu konstrukcji zrębu (ściany zewnętrzne, przepiórki, tragarze podpierające powaloki czy stałe elementy odrzwi, przystępowali do budowy dachu, na którym dopiero widać było elementy ciesielskiego kunsztu. Przeróżnymi zamkami i wrębami łączyli elementy konstrukcyjne

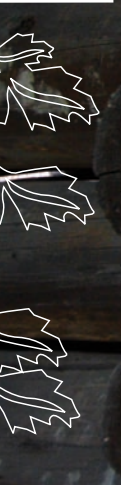


Zapadkowa zasuwca



Węgło starej stodoły (jaskółczy ogon z ostatkami)

90



tak, aby zabezpieczyć przyszły dach przed odkształceniami. Podpórki, wiązary, miecze musiały pracować dwukierunkowo na ściskanie i rozciąganie, a to miały zagwarantować, pasowane dodatkowo na wcisk, te właśnie zabiegi konstrukcyjne. Poza tym dach był pokazem oszczędności. Na krokwie stosowano wierzchołki lub całe cienkie drzewa, jedynie w miejscach mocowań lekko obrobione. Oczywiście zgodnie z rozkładem obciążeń, ustawiane były cieńszymi końcami w górę. Wszystkie mniejsze elementy konstrukcyjne wykonywane były z fragmentów okrajków czy oflisowych końcówek belek. Początkowo, jedynym metalowym łącznikiem, były wykonywane przez kowali kłamry, którymi łączono sąsiadujące belki. W momencie, gdy do powszechnego użytku weszły gwoździe, jakoś łączeń uległa znacznemu uproszczeniu. W pokryciach słomianych (kicorkowych) zamiast drogich łat stosowano różne kije i cienkie żerdzie przywiązywane sznurkami i wiechciami słomy. Szczytową część dachu, zwaną kalenicą, należało zabezpieczyć przed wiatrem za pomocą kozłów i płatów darniny. Z biegiem łat słomiany dach, od strony północnej, pokrywał się mchem, a w najniższej jego części sadzono rozchodnik będący koniecznym składnikiem wianków na Oktawę Bożego Ciała. Na chylący się ku ziemi dach wyskakiwały wszędobylskie kozy i wszelkie ptactwo domowe.

Dachy kryte dachówką (dachówka ceramiczna) wymagały silniejszej konstrukcji i zastosowania łat na całych połaciach. Na takie pokrycia stać było jedynie najbogatszych mieszkańców wsi.

Przydrożne kapliczki, wiatraki czy kościoły kryte były gontami. Dla wyrobu gontów, należało połupać promieniowo drewno świerkowe lub jodłowe, które musiało być jednak proste, lub nieznacznie lewoskrętne. Dodatkowo sęki powinny być niewielkie i ułożone wzdłużnie pod sobą. Drewno podłużnie prawoskrętne absolutnie nie nadawało się, gdyż pod wpływem słońca, gonty zamiast dolegać odginały się (wyrcały). Rowek do wzajemnego zachodzenia gontów wykonywano fugownicą, będącą odmianą ośnika.

Pozostało teraz wypełnić szczeliny belek i ciesielski etap budowy był zakończony. Powszechnie stosowanym do tego materiałem był mech, stąd też pochodziła nazwa tej czynności - „meszenie”. Mech dobijany był





w szczelinach (sculbanach) trzusłem od pługa a dla lepszego przylegania podklinowywano meszoną belkę, aby po wybiciu klina docisnęła silniej mech.

Teraz do chałupy wkraczali stolarze, robiąc okna, podłogi, a w końcu meble. Na nowiznę (nowo wybudowane siedlisko) konieczne musiały być wianna skrzynia lub komoda, pełniąca rolę szafy i skrytki najcenniejszych odziei. W tzw. półskrzynku swoje miejsce miały korale, różaniec, lusterko i inne najcenniejsze damskie przedmioty. Wewnętrzna strona drzwi służyła też do zapisywania ważnych dat (najczęściej urodziny i śmierci członków rodziny).

Generalizując, można powiedzieć, że stolarka budowlana opierała się głównie o drewno iglaste (u nas praktycznie jodła), a stolarka meblowa o liściaste.

Stolarka budowlana miała swoje schematy. Skrzynkowe okna, w których stałe, zewnętrzne, były przeważnie czterokwaterowe, uzupełniano na zimę dwukwaterowymi wewnętrznymi. Stojące w oknie przez całe lato krakowiaki i pelargonie, przenoszone były na kwietniki, a ich miejsce dla ocieplenia, zajmowała sianowa poduszeczka. Na przedwiośniu miejsce to zajmowały flance (rozsady) kapusty i innych warzyw. Drzwi zewnętrzne, od strony frontowej, posiadały często od góry schowek na klucz z małymi szybkami, będącymi jedynym doświetleniem ślepej sieni. Drzwi do kuchni, od strony wewnętrznej charakteryzowały się ciężką, masywną konstrukcją i ozdabiane były przybijanymi na kształt deltoidu deseczkami z charakterystycznym zdobnym wybrzuszeniem pośrodku. Do izby wchodziło się przez dwuczęściowe, przeważnie przeszkłone, drzwi o delikatnej konstrukcji. Stoły, krzesła, szafy, ławy czy umywalki - posiadały delikatne zdobne konstrukcje z charakterystycznie wygiętymi nogami.

Wszystkie te przedmioty wykonywane były z litego drewna, a co za tym idzie - podatne były na odkształcenia wraz ze zmianą wilgotności. Olbrzymią rolę odgrywał więc dobór i właściwe wysezonowanie drewna. Do jego obróbki stolarz dysponował jedynie ręcznymi narzędziami i wielofunkcyjnym warsztatem stolarskim. Musiał stosować różne techniki zabezpieczające przed odkształcaniem czy utratą właściwego skątowania. Elementy



Zdobienie szafy – styl rustykalny

z krzywiznami wycinał piłką ramową, o bardzo wąskim brzeszczocie pozwalającym na zmianę kierunku w ramach rzazu. Gdzie nie można było dojść piłką ramową, docinał piłką ogonową. Obróbki wykończeniowe wykonywał za pomocą różnoprofilowych hebli, które miały odpowiednio swoje nazwy (np. spust, gładzik, zdzierak (śruthybel), fugowiec, ranciak). Żelazko zdzieraka było pojedyncze, gładzika natomiast podwójne (z kątrzelazkiem powodującym szybsze zawijanie wióra). Do długich płaskich powierzchni stosowany był spust, który pozwalał na dokładne wyrównanie powierzchni. To właśnie długość tego narzędzia umożliwiała przybieranie przez żelazko (ostrze hebla) grubszego wióra w miejscach wzgórków, a z drugiej strony hebel w ogóle nie brał w miejscach lokalnych wgłębień. Ciekawa też była regulacja grubości wióra, odbywająca się poprzez pobijanie, zaklinowanego drewnianym klinem, żelazka. Niestety, przy zbyt mocnym wybiciu hebel zaczynał szczerbić, a uderzenie zwrotne, po ostrzu nie wchodziło w grę. Wtedy należało uderzyć młotkiem w tylną część hebla, przez co klin złuzował i można było wycofać żelazko, by potem ponownie ustawić go na właściwej pozycji, ale już z dobitym klinem. Harmonię swoich wyrobów stolarze czerpali z otaczającej przyrody. Spoglądając z boku na nogi starodawnego krzesła można dopatrzyć się podobieństw do układu z nogami zwierząt kopytnych. Każdy stolarz posiadał swój nieco odmienny styl zdobniczy, czasami podpisywał też swoje wyroby jakimiś znakami lub nazwiskiem.

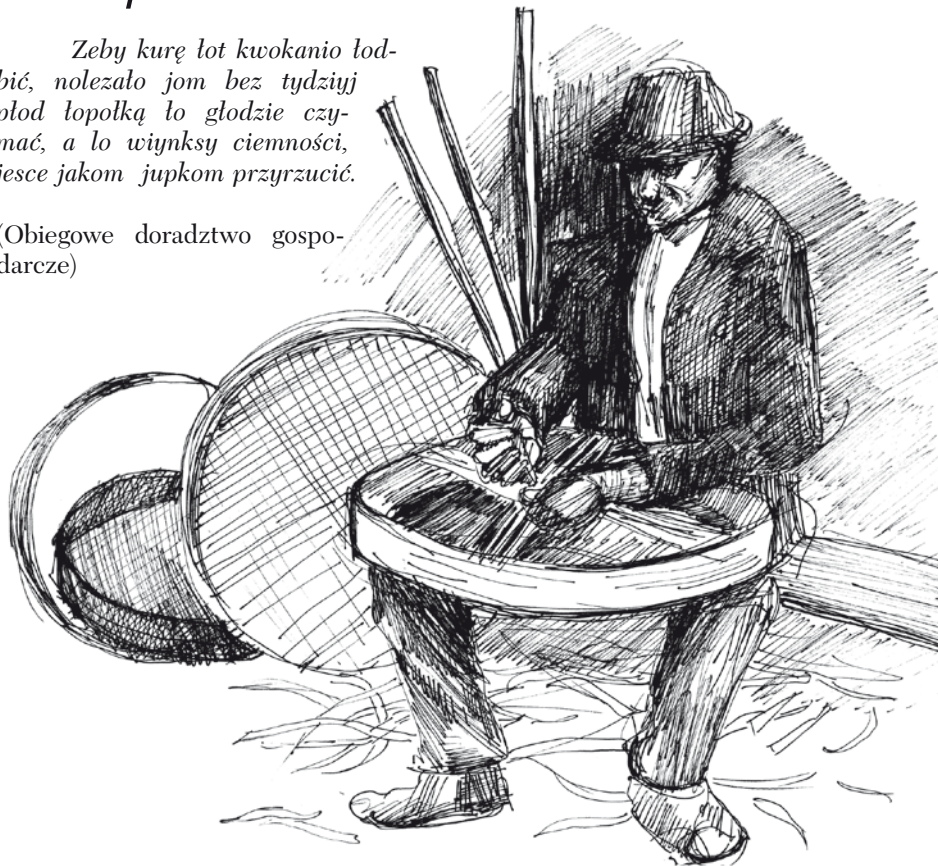
W czasach przedlakierowych jedynym sposobem barwienia i konserwacji było nakładanie politur, będącej rozpuszczalną w spirytusie, mieszaniną wosku pszczelego z olejami i żywicami. U stolarza można było też zamówić zrobienie ula. Były to najczęściej ule typu słowiańskiego, w których pszczoły wymagały niewielkiej wiedzy i nakładu pracy, ale i miodu za dużo się pozyskać nie dawało. Jako ocieplenie między warstwami desek stosowano plewy lub sieczkę. W próchniastych wierzbach, lepieniach belek gniazda miały trzmielie i dzikie pszczoły, którym dzieci starały się podkraść trochę miodu, podbijając z plastrów słomkami.

Stolarz nie mógł być człowiekiem zbyt nerwowym, bo zrobienie zdobnej szafy zabierało nieraz i pół zimy.

Wikliniarstwo, koszykarstwo, opółczarstwo

*Zeby kurę lot kwokano lod-
bić, nolezało jom bez tydziyj
płod łopolką ło głodzie czy-
mać, a lo wiynksy ciemności,
jesce jakom jupkom przyrzucić.*

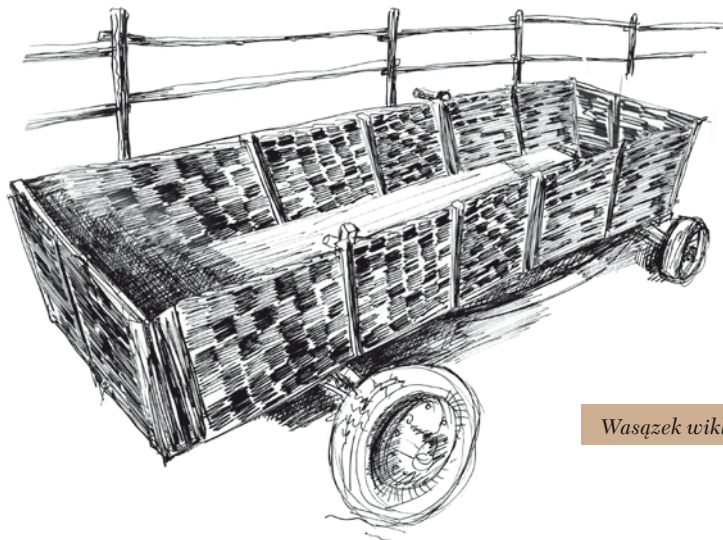
(Obiegowe doradztwo gospo-
darcze)



Pojemniki na produkty płynne i sypkie wykonywali bednarze i garn-carze, dla koszykarzy pozostały już jedynie pojemniki na wielkowymiarowe produkty typu ziemniaki, jabłka czy jajka.

Granice własności łąk, brzegi rzek, dzikich bagien czy popularnych niegdyś stawów porastała wiklina. Dla wyplatania koszyków najcenniejsza była regularnie ścinana „czerwonkowata” wierzba purpurowa (*Salix purpura*). Wiklina była specjalnie przygotowywana poprzez moczenie w potokach, następnie korowanie (wiklina biała) czy warzenie i korowanie (wiklina czerwona). Wiklina znajdowała się także w obrocie handlowym (na jarmarkach) i na siłę można by wikliniarstwo zawęzić do produkcji i przygotowania wikliny. W naszych regionach zawód ten miał jednak dorywczy charakter i raczej rozumiany był jako połączenie wikliniarstwa, z koszykarstwem i opółczarstwem. Mniejsze, ozdobne konstrukcje wyplatano również ze słomy, sitowia czy rogoziny.

Typowe kosze wykonywało się najczęściej z dwóch łączonych ze sobą części: dna opartego na promienistym lub równoległym szkielecie oraz



Waszek wiklinowy

ścianek opartych na osnowie. Z korowanej wikliny wykonywano jedynie ozdobne koszyczki używane odświętnie. Typowy koszyk na ziemniaki posiadał środkową rączkę, zwaną obąkiem, zaplataną pośrodku dłuższych boków, aż do denka, gdzie związana była kilkoma skręcanymi łykami wikliny, zabezpieczając w ten sposób dno przed wydęciem. Dla wzmocnienia, zaplatanie zakończeń górnych, wykonane było jako potrójny warkocz, pośrodku ścianek również było zdobno-wzmacniające odwrotne zaplecenie. Wiklina pozyskiwana była wiosną i przechowywana w piwnicach. W takiej technice wykonywano koszyki, półkoszyki czy całe wasązki na wozy, oplatano szklane dymiony na wino i miód. W bryczkach, kołyskach czy werandach wiklina była wypełnieniem do drewnianych szkieletów.

Robiono też wiklinowe płoty, przy czym stosowano tutaj nieco grubsze pręty, pozyskiwane ze wszelkich gatunków wierzby. Często ozdobne koszyczki uzupełniano lupanym łykiem z jałowca lub korzeni świerkowych czy sosnowych. Sprężystość i wytrzymałość gałązek (batów) wykorzystywanych dodatkowo na biczyska, doprowadziła prawie do zaniku tego gatunku w naszych lasach. Podobnie miała się sprawa z lipą czy jaworem, poszukiwanymi w stolarstwie, bednarstwie czy snycerstwie.

Oddzielną półkę zajmują wyroby z łyka leszczynowego. Odpowiednio opolka, służyła do przenoszenia pasz objętościowych (np. siana, sieczi, liści z buraków), z koszyka opolcastego wysiewano ziarno w pole i przenoszono do mielenia w żarnach. Obydwa te przedmioty, dzięki wykonaniu z cienkiego łyka były bardzo lekkie, a zarazem wytrzymałe. Na dobrze wykonanej, odwróconej do góry dnem opolce, mógł z powodzeniem stanąć dorosły mężczyzna. Dno ugięło się, ale nie załamało. W opolkach też, leżały na miedzach niemowlęta, gdy matka zajęta była pracą w polu.

Pozyskana leszczyna była wstępnie nacinana i zaparzana w piecu chlebowym lub wrzątku, potem darta na paski i ostatecznie obrabiana. Drewniana obręcz i żebrowanie, podobne w układzie do szkieletu drewnianego okrętu, oplatana była paskami łyka stanowiąc mocną, lekką i w miarę szczelną konstrukcję. W dzisiejszych czasach wszystkie te produkty straciły dawne użytkowe zastosowanie, obecnie pełnią głównie funkcje dekoracyjne.



Zakończenie

Tak, nieznacznie się zmieniając, wiele z tych zawodów przez wieki funkcjonowało. Do naszych czasów przetrwały częściej w przysłowiach niż swej rzeczywistej formie.

Powiedzenie „*proste jak budowa cepa*” przy bardziej wnikliwym zagłębieniu można by obalić. Dzierżok (część trzymana w ręce), połączony był z bijakiem skórzanymi gackami połączonymi rzemieniem, koluszkami lub sznurkiem. Nic by z tego nie było, gdyby gacek zaciśnięty na główce dzierżoka nie był ruchomy. Bez tego, wraz z ruchem obrotowym bijaka, połączenie ukręciłoby się. Kto widział stare, „spracowane” cepy i dotykał w miejscu połączenia gacków mógł stwierdzić niebywałą gładkość drewna w tym miejscu. Tę cechę drewna wykorzystywano nawet w produkcji najstarszych zegarów, wykonując drewniane łożyska ślizgowe, wspomagane co jakiś czas dodatkowym smarowaniem. Innym wydawałoby się zupełnie prostym urządzeniem, był wał kołowrotu od studni. Poza wydętą formą, dającą promień zataczania, był jednostronnie nieco wyżej ustawiony. Obydwa te elementy konstrukcyjne powodowały samoczynne przyleganie zwojów łańcucha przy wyciąganiu wiadra z wodą. Tak więc, pomimo, że fizyki nikt się nie uczył, zastosować jej prawa doskonale umiano wzorując się na otaczającej przyrodzie i wielowiekowemu doświadczeniu. Diametralnej zmianie uległa też budowa trzonka (śtyła) do siekiery. Obecnie trzon posiada różnie profilowane kształty, a ostrze nabijane jest na zatoczenie z przodu i klinowane. Gdy dawniej kowal wykonywał siekiery, pomimo że się bardzo starał, ucho każdej z nich wychodziło mu nieco inne. Dopasowanie śtyła uzyskiwano poprzez przebijanie przez całą długość, lekko stożkowatego drzewca, aż do momentu zaklinowania. Dodatkowo stosowano lekkie nagrzanie obucha, tak, aby nie rozhartować ostrza.

Czas dawniej płynął wolniej, ludziom pomimo głodu nudziło się, stąd często sztuka mieszała się z codziennością. Pasący krowy, dzień w dzień, parobek, chociaż może w ten sposób zagłuszał pusty żołądek, rzeźbił

sobie scyzorykiem świątki, muzykował na robionych z lipowej kory gwizdkach i fujarkach. Coś lub ktoś nowy, pojawiający się na wsi, budził zainteresowanie wszystkich jako przybysz z nowinami „ze świata”. Przewrotnie ta cecha jeszcze pozostała, ale zainteresowanie raczej objawia się w powszechnym plotkowaniu. Mass media zastąpiły spotkania i bajduły o strachach, duchach i czarach. Wielu tych bazarzy sami do końca nie wierzyli w to, co mówili, sami też naocznie nie widzieli, ale nietaktem byłoby w ich słowa powątpiewać. Żywoć wiejski oceniany z pozycji dzisiejszego człowieka, charakteryzował się znaczną brutalnością, jednak nie wynikała ona ze złej woli, ale konieczności przetrwania. Oszczędność chleba, jak i wszelkich płodów ziemi była powszechna, a bezmyślne marnowanie grzechem. Wieś straciła swą odrębność kulturową, pozbyła się za to izolacjonizmu i zacofania. Sama zapomniała nawet o różnicy między „podpłomykiem” a „poskróbkim”, nagminnie te pojęcia myląc.

Mam nadzieję, że ta pozycja, będzie przyczynkiem do zachowania Naszego dziedzictwa, podkreślenia Naszej odrębności regionalnej i etnicznej, dumy z Własnej Małej Pogórzańskiej Ojczyzny.

Mieczysław Solarz

Studnia z malwami





SPIS TREŚCI

Od autora	5
Rolnik – rolnictwo i towarzyszące mu prace gospodarskie	14
Rzeźnik	29
Kołodziej (stelmach)	36
Kowal	46
Garbarz, rymarz	54
Szewc	61
Kamieniarz	65
Garncarz, ceglarz i zdun	70
Bednarz	75
Przędzalnictwo, tkactwo, powroźnictwo	80
Cieśla, stolarz	86
Wikliniarstwo, koszykarstwo, opłczarstwo	95
Zakończenie	98



Europejski Fundusz Rolny na rzecz
Rozwoju Obszarów Wiejskich



Program
Rozwoju
Obszarów
Wiejskich
na lata 2007-2013

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich:
Europa inwestująca w obszary wiejskie.

Publikacja wydana przez Pogórzańskie Stowarzyszenie Rozwoju,
współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach osi 4 – LEADER
Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013

Instytucja Zarządzająca Programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013
- Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi

ISBN 978-83-62426-01-0